

TYGODNIK ILUSTROWANY

BIESIADA

NR. 8

WARSZAWA 21 GRUDNIA 1924



Kalia

PERFUM
MYDŁO
PUDER
LOTION

J. & S. STEMPNIEWICZ
PERFUMY I KOSMETYKA · POZNAŃ

ODDZIAŁY:

WARSAWA KRAKÓW RADOM
KS. SKORUPKI 8. RYNEK GŁÓWNY 46. PIASKI 12.

Instrumenty Muzyczne Struny
idealnie grające

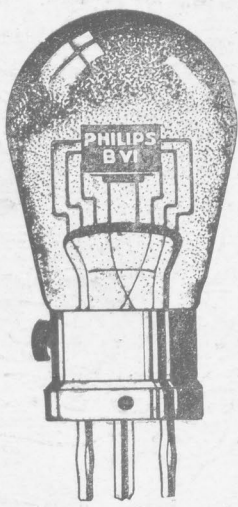
„Parlofony“ poleca **B. Rudzki**
Marszałkowska Nr. 87 i 146.
Kooperatywom ceny specjalne.

Detaliczna sprzedaż wigonji

M. Goldach

Łódź, ul. Cegielniana № 30.

LAMPY RADIO



WSZELKICH
TYPÓW
i
SYSTEMÓW

— WYRABIA —
Polsko-Holenderska Fabryka
LAMPEK ELEKTRYCZNYCH

PHILIPS Sp. Akc.
w WARSZAWIE.

CO DORÓWNA DRUKARCE BIUROWEJ
ROEDERTAL?



**N!
I!
C!**

AUTOMATYCZNE składanie i rozbieganie czcionek.
Pracuje ręcznie i elektrycznie.
PROSPEKTY GRATIS! Pokaz w biurze. Reprez.:

POLSKI PRZEMYSŁ BIUROWY
MARSZAŁKOWSKA 66. Tel. 60-36.

Ponadto posiadamy:
MEBLE BIUROWE
KASY PANC. I OGNIOTRWAŁE
ARYTMOMETRY
„TRIUMPHATOR”.

Wszelkie materiały biurowe.
Ceny i warunki najdogodniejsze!

CUKIERNIA

„CORSO”

oraz fabryka cukrów i czekolady

Jan Ekiert

WARSZAWA
Nowo-Senatorska 8.
Tel. 120-93.

B I E S I A D A

P I S M O T Y G O D N I O W E I L U S T R O W A N E
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA NOWY-SWIAT 50, TEL. 291-60

W A R S Z A W A 21 G R U D N I A 1924 R O K I N R 8.

Co dorówna drukarce biurowej

ROEDERTAL?

N
I!
C

AUTOMATYCZNE składanie i rozbieranie czcionek. —
Pracuje: Ręcznie i elektrycznie. PROSPEKTY GRATIS!
Pokaz w biurze Reprez: POLSKI PRZEMYSŁ BIUROWY
Marszałkowska 66, telef. 60-36 Ponadto prowadzimy:
MEBLE BIUROWE—KASY PANC. I OGNIOTRWAŁE
ARYTMOMETRY „TRIUMPHATOR“. Wszelkie art. biur.
Ceny i warunki najdogodniejsze.

N A S Z E S P R A W Y

DOOKOŁA NOWEJ POLSKI.

VI.

Wielkim plusem Ameryki w stosunku do nas jest upowszechnienie pracy ręcznej bez względu na rangę, kastę i stan majątkowy.

Tam pracuje każdy i nie uważa tego za rzecz nieodpowiednią. Tam nie krępuje damy koszyk, z którym idzie na targ; właściciela domu — to, że sam będzie naprawiał ganek lub dach i panienek najmodniej szimmizujących i ubranych pranie bielizny osobistej. Są to rzeczy codzienne, bynajmniej nie wyjątkowe. Europejka, której zaproponują udać się do suteryny i tam przedstawią szereg urządzeń pralnianych, z którymi nie wie, co robić, czuje się zupełnie złapana; Amerykanka jest tam w domu. Chińczyk, utrzymujący po miastach pralnię (ogromnie to zabawnie wygląda narazie, taki długopół typ z warkoczem przy praniu) dopomaga o tyle, o ile sztuki są za wielkie do prania w domu — ale bynajmniej nie każda rodzina i nie całą bieliznę mu oddaje.

To upowszechnienie pracy dokoła swego najbliższego otoczenia stwarza możliwość lepszego usy-

tuowania się mniejszym kosztem. My musimy wynajmować i płacić to, co oni mają z pracy rąk własnych. Dlatego każde mieszkanie, a zwłaszcza każda posiadłość tam przedstawia się ładniej, staranniej, kulturalniej, niż u nas. Jedynym bardzo dla nas odstręczającym szczegółem dokoła domu wielkomiejskiego w Ameryce — to śmiecia. Istnieje tam zwyczaj gromadzenia wszelkich odpadków w duże beczki, ustawione tuż przy domu; miejski wóz przyjeżdża i zabiera je co rano. Otóż ze stanowiska higieny — a tak to właśnie jest traktowane — rzecz może być dobra, gdyż nie gromadzi się po zakamarkach podwórza, jak u nas, cuchnących zbiorników najrozmaitszej zarazy, czekających zmiłowania magistratu, czy kamienicznika. Jednak ze stanowiska estetycznego razi to nas w sposób zdecydowany i nie możemy się do tego żelazo-betonowego higienizmu przyzwyczaić.

Drugim szczegółem niepożądanym, dotyczącym już układu życia wewnętrznego, jest — łóżko. U nas w rodzinie średnio-zamożnej ani dziewczęta, ani chłopcy nie śpiąją zazwyczaj po dwie lub po dwóch. Tam i owszem jest to zjawisko bardziej niż



codzienne — niejako stały porządek rzeczy. Pochodzi to zapewne ze szczupłości mieszkań, gdzie poza pokojami ogólnymi, sypialenki są małe, bo przeznaczone tylko do snu. Łóżka zaś są olbrzymie i wypełniają przestrzeń tak, że już o drugą taką kolubrynę w małym pokoiku trudno. Sypia się więc możliwie „oszczędnościowo“. Oczywiście, nie możemy się zgodzić, aby z jakiegokolwiek w świecie stanowiska było to pożądane, zaczawszy od etycznego, przechodząc przez higieniczne i kończąc na czysto estetycznym.

Najważniejszym jednak atutem Ameryki pozostaje zawsze, w zakresie mieszkaniowym — ów własny dom. Dom, kupowany nie na końcu, ale na początku kariery, i dzięki któremu oszczędności się robi; dom, który tam kosztuje dużo taniej, niż u nas dziś — odstępne za czteropokojowe mieszkanie;

dom, który się kupuje na spłaty, ulepsza się, rozbudowuje, ozdabia i odprzedaje z zyskiem, przeznaczonym na kupienie innej, większej własności. Dom, który daje obywatelowi państwa poczucie osiadłości, odpowiedzialności, swego określonego miejsca na świecie. Dom, który pozwala mu rozwinąć swoje skłonności gospodarcze, w jego urządzeniu, znaleźć wypoczynek po biurze przy kwiatkach i drzewach, pozwala hodować dzieci w mniej demoralizującym, niż nasz „wynajęty“ świat otoczeniu, każąc go szanować i dbać o niego, bo jest własny — wreszcie przysparza znakomite sumy, u nas wydawane na komorne.

Oczywiście, że jest sprawą ogólnego ustroju państwa fakt, że takie nabycie własności jest dla przeciętnie zarabiającego urzędnika i robotnika udostępnione. Istnieją tam tysiące ulg, spłat i biur fachowych do ułatwienia człowiekowi wybudowania lub nabycia domu z parcelą bez tych zabójczych dróg krzyżowych, jakimi chodzi budownictwo u nas. Wierzmy, że to minie wraz z drożyzną, ale też dobrzeby było, aby nie poprzestając na wierze samej, zawiązywały się fachowe zrzeszenia budownicze w porozumieniu z rządem w celu ulokowania nareszcie na własnym naszej wieloletniej, tułaczkiej polskiej bezdomności. Ministrowie wszelkich przekonań, łączcie się!...

M. H. SZPYRKÓWNA.

POWIEŚĆ — POEZJE — OPOWIADANIA.

JANUSZ ODYNIC.

LEGENDA GDAŃSKA.

ILUSTROWAŁ ZYGMUNT GRABOWSKI.

Było to dawnymi, dawnymi laty. Żył sobie wtedy w Płocku organista, zwał się Sucharek. Miał ten organista syna Jaśka — zdolny był hulaj, ale hulaj. Ojciec chciał go na księdza, ale Jaśkowi nie w głowie była nauka. Tak sobie pograć na organach, na lutni — to dobrze i to nie z nut i nie z nauki, ale ot tak — z głowy. A najwięcej, to lubiał sobie coś majstrować kozikiem. To młyny jakieś, wiatraki, to maszyny wojenne maleńkie, to jeszcze coś tym swoim kozikiem z drzewa wyrzynał; a sprytnie to robił, że ludzie z całego Płocka przychodzili patrzeć i dziwowali się bardzo. No, ale ojciec batoga nie żałował i chłopaka do nauki zapędzał i już mieli go prawie wyświęcać, kiedy chłopak uciekł. Uciekł i ślad po nim zaginął.

Gdzie był i co robił — niewiadomo. Dopiero po latach dziesięciu, kiedy w Gdańsku uradzili zegar kurantowy na wieży Świętego Jana postawić i szukali dobrego majstra, wrócił był właśnie pewien kupiec z dalekiej podróży i powiada — niema lepszego majstra, jak Jaśko Sucharek, którego choć w Amsterdamie warsztat własny ma, ale że jest Polakiem, więc do Gdańska chętnie przyjedzie i zegar zbuduje. Jak zaczął cuda o Jaśkowych zegarach rozpowiadać, tak panowie rada i powiadają: „Kiedy tak, to ślemy po Jaśka“. — Posłali, przywieźli i takim sposobem Jaśko znów się w Polsce odnalazł.

Przyjechał tedy Jaśko z całym warsztatem i z dwoma uczniami. Jeden zwał się Mathe — niczego sobie, zdatny pacholek, a drugi Mejo — wywłoka

jakis; niewiedzieć skąd go wziął i poco trzymał. Rudy, czerwony, piegowaty na gębie i rękach, z zadartym nosem i spojrzeniem spoodełba. Jednym słowem wywłoka. Niewiadomo nawet czy chrzczony, bo choć do kościoła chodził, ale kto go tam wie, co sobie myślał, bo sam, to nic nigdy nie mówił.

Przyjechał tedy Jaśko i zaraz wziął się do pracy. Założył warsztat, wymierzył dzwonnice i począł kuć, piłować szlifować z uczniami, robić wałki, tryby i koła i modele do dzwonów. Słowem pracowali co się zowie.

W niedzielę odpoczynek. Uczniowie warsztat sprzątnęli, podłogi piaskiem posypali i ciętyjn jałowcem, ubrali się w szaty odświętne i z majstrem razem poszli na mszę do kościoła. Gdy przyszli, msza się jeszcze nie była zaczęła, stoi więc Jaśko, rozgląda się. Naraz patrzy, wchodzi matrona z dziewczką. Jak spojrzął na oną dziewczkę, tak jakby do ziemi przyrósł! Patrzy i oczu oderwać nie może. Dużo widział niewiast na świecie, nieraz bywały cudnej urody, lecz obce były mu wszystkie. Na tę gdy spojrzął — poznał odrazu w niej „swoją”. Jak tu inaczej powiedzieć — „swoją”, choć nigdy jej przedtem nie widział. Patrzy na nią i radość wielka w nim rośnie i ciepło serdeczne po całym rozchodzi się ciele. A dziewczka idzie tuż obok — nawet nie spojrzy na niego; przeszła i w ławce usiadła z matroną. Książkę otworzyła, przystojnie się modli.

Msza się zaczęła, ciągnęła i przeszła, a Jaśko nawet pacierza nie zmówił, w oną dziewczkę wpatrzony. Ludzie wychodzą, wychodzi matrona z dziewczką, a Jaśko idzie za nimi z kościoła, potem po mieście... Dopiero kiedy zniknęła za drzwiami, tak Jaśko jakby się ze snu obudził. Łatwo dopytał się, co zacz są te niewiasty. Ta starsza — to Józefowa Dolewina, żona złotnika, a młodsza — to córka jej Danka — Danka Dolewianka.

Gdy wrócił Jaśko do domu — twarz mu taka jaśniała radością, jakby objawienia doznał. Z radości tej o powadze majstra zapomniał i uczni, jak równych wyściskał, a potem po izbie swej chodził, pieśni śpiewał pod wąsem, a nogą sobie przytupywał, jakby po sutej libacji, chociaż naprawdę, to kropli wina jeszcze w ustach dnia tego nie miał. Radość mu taka piersi rozpiera, że już wytrzymać w domu nie może i poszedł sobie w las za mury.

Wieczorem wziął lutnię i cudzoziemskim zwyczajem pod oknami dziewczki, stanawszy, pieśni jej słodkie o miłości swej śpiewał. Jak on tam śpiewał, to już nie złożę, powiem tylko, że było w tej pieśni, jak on po świecie całym czegoś szukał, nie wiedząc sam czego. Szukał, bo coś go rwało, coś ciągnęło, że nie mógł na miejscu usiedzieć. Zaznał dużo dobrego i złego, nieraz już się zdawało, że wszystko ma, czego pożądał, aż nie, znów coś podrywało, zrywał się, leciał, znów szukał. Teraz dopiero, gdy ujrzał Daneczkę, łuska z oczu mu spadła i poznał sens swego życia i poznał, że jej właśnie szukał. Śpiewał, że miłował ją już od swego chłopięctwa, że o niej marzył w nocie bezsenne, że snił o niej i tęsknił, a nawet nie myślał, że ujrzy ją żywą, bo każda niewiasta, jaką napotkał, była jako ziemia do nieba, tak niepodobną do tej wymarzonej. Śpiewał jej o tem,

że teraz niczego już więcej nie pragnie i szczęście w sobie takie ma, że gdyby go pomiędzy wszystkie ludzie rozdał — jeszczeby każdy szczęśliwszym był, niż sam o tem marzył. I śpiewał jej jeszcze, że choć nie wie, co go czeka, jednakże niepokoju żadnego w nim niema, bo skoro przez lat tyle szukał — musiała, dusza wiedzieć, że przy niej jego szczęście największe.

A dziewczeczka stanęła ukryta za oknem, w miesiąc się patrzy i rada pieśni tej słucha, ale pieśń ta nie budzi w niej głębszych oddźwięków. Wyrzwała ukradkiem przez okno — młodzian postawny ambicję jej mile połechtał, aie nie drgnęło jej serce panińskie.

Gdy Jaśko pieśń swą dośpiewał — pomilczał troszeczkę i w struny brzęknawszy, pieśń drugą zanucił. Prosił Danuchnę w tej pieśni, by mu kwiat jaki, czy szarfy kawałek przez okno rzuciła. Oddarła Danka, ale tak, z pustoty, kawałek wstążeczki ze szaty i okno rozwarłszy, bez słowa Jaškowi rzuciła. Jaśko wstążeczkę do piersi przycisnął, potem ją ukrył starannie w zanadrzu, lutnię dostał i jeszcze pieśń jedną — dziękczynną zaśpiewał.

Nazajutrz rano, skoro świt tylko noc spędził, zabrał się Jaśko do pracy, a myśl, że jego kuranty Danka słyszeć będzie — tem większej mu dodawała ochoty. I widział już, jak ludzie, słysząc granie zegara, dziwować się będą, jak nań oczy obróca i chwalby



...i jeszcze pieśń jedną — dziękczynną zaśpiewał.

prawić mu zaczął, a on, Jaśko, wtedy na Dankę im wskaże i pokłon jej odda i powie do ludzi: „Wy mnie chwalicie, a ja jej swój hołd oddawam. Słuszna więc, żebyście dank wasz jej oto złożyli“. Myśli tak Jaśko i serce mu rośnie i praca idzie ochoczo, aż dom jego cały rozbrzmiał weselem i śpiewem. Dźwięk młotów pieśni zawtórował i zgrzyty pilników w takt pieśni wpadały i hebel po drzewie strugając, pieśnią pieśni odpowiadał.

W niedzielę Jaśko w kościele lubej swej czeka. Gdy weszła — wodę święconą na dłoni, z niskim ukłonem, jej podał, a potem przez mszę całą z niej oczu nie spuszczał, jakby do niej się modlił.

Po sumie, przez swoich znajomych, z rodzicem dziewczyny się poznał, a ten go mile do domu swego wprowadził i odtąd już Jaśko częstym był gościem w domu złotnika. W wieczory po pracy prawił im dziwy o krajach dalekich, gdzie bywał i pieśni wdzięczne śpiewał przy lutni. Danką go mile słuchała, często z nim wiodła rozmowy, gdy starsi gwarzyli ze sobą. Czas płynął Jaśkowi jak w niebie, aż pewnej niedzieli, gdy całą rodziną poszli do lasu zbierać jagody, odbili się Jaśko i Danką od całej kompanji, a wtedy Jaśko tak mówi:

— Słyszałaś, Danko, jakom ci śpiewał o swoim kochaniu. Wiesz wszystko. Dodać to tylko mogę, że wtedy powiedział za mało. Co dnia, co godzina



I rozwarło się okno w Danki komnacie i ujrzał w niem białą dziewczeczkę...

miłuję cię więcej i więcej. Jak patrzę na ciebie tak zbliska, sam nieraz sobie nie wierzę, azali to prawda, co widzę. Bo w każdym twym słowie, w każdym twym ruchu czy czynie — poznaję tę swoją dziewczynę wysnioną, tak, jakbym znał cię już wprzód i marzył właśnie o tobie. Dziwu temu nadziwić się dosyć nie mogę, a razem taka mnie radość ogarnia, jako duszy tej grzesznej, co w czyścju pokutę odprawia i końca mąk swych nie widzi, gdy zagnała anioł przed nią się zjawi i rzecze: „Skonńczona twoja pokuta — chodź za mną do nieba“. I tak mi się zdaje, że wszystko, co ja czuję i ty czuć musisz tak samo i tak samo miłować, jakbyś mnie widząc czekała. Więc powiedz Danuchno, azali nie mylą mnie myśli, azalim naprawdę ci luby?

A Danką głowę zwiesiła, płatki kwiatuśkom obrywa i milczy długo, aż wreszcie tak rzecze:

— Dziwne są słowa wasze, panie majstrze. Ja nie wiem... Mnie się nie zdaje, bym was znać miała już wprzód. Mówicie, że muszę was także miłować, jako mówicie o sobie... Ja nie wiem... Rada was widzę i rada was słucham, ale miłowania w tem niema żadnego. Tak rzekła, spojrzawszy na Jaśka, jakby całunem rzuciła, a potem znów głowę schyliła i dalej kwiatkom płatki obrywa.

I Jaśko głowę pochylił. Pochylił i duma... „I cóż me przeczucia?... Czyżbym się mylił?... Na Boga! Nie mogę uwierzyć!...“ Stoi i duma tak długo, aż Danką poczęła na niego spoglądać ukradkiem, potem otwarcie, a potem i rzekła do niego:

— Jam temu, Jaśku, nie winna, że was miłować nie mogę... Nie miejcie do mnie urazy!

— Urazy, urazy?...—pyta się Jaśko stłumionym głosem. Ja ciebie miłuję Danuchno — skądże uraza?... Przez ciebie świat cały miłuję: złych i dobrych pospołu i zwierzę każde i drzewo i owad i zioło... Miłuję, jak Chrystus przykazał, a jak ludzie nie czynią. Niemasz we mnie urazy, jeno... pojąć nie mogę... — tu urwał i, spojrzawszy wokoło, powiedział:

— Choćmy już do kompanji — niebawem wołać nas będą. I poszli, a gdy się złączyli, Jaśko znów zniknął, ale samotnie.

Trzy dni nikt Jaśka nie widział. Już o nim myśleli, że zbłądził i zwierzę dziki go pożarł, kiedy odnalazł się wreszcie. Był czarny, obdarty, słowa nie rzekł nikomu i zamknął się w swojej komnacie. I znowu trzy dni w niej przesiedział, nie jedząc nic i nie pijąc. Co on tam robił, nikt tego nie wiedział, chyba Me-go jeden, co wciąż przez dziurkę do izby zaglądał i ucho do ściany przykładął. Poszła jednak gadka po ludziach, że czary czynił, że krwi z pod serca do miski utoczył, że włożył do niej kawałki spiżu, srebra i złota, że ręce nad nią trzymał i szeptał zaklęcia. Ale temu gadaniu nikt wiary nie dawał. Prawdą jednak było, że gdy z izby swej wyszedł, miał nowe do swego zegara rysunki, niektóre części kazał przerobić, inne sam robił tajemnie. Pracował od brzasku do zmierzchu, nocami zaś chodził po izbie, coś szeptał do siebie i wzdychał. Mówiono, że szeptał te słowa: „Nie pomni, nie pomni... Jej dusza śpi jeszcze...“ Zaś potem: „Dzwon jej uszy otworzy, dzwon ją obudzi!“ Mówiono, że tak sobie szeptał, ale ktoby tam wiedział naprawdę, ot zwykle ludzkie domysły.

Mówiono jeszcze, że gdy tygłe do pieca wstawiali, on wyjmował z zanadru kawałki spiżu, srebra i złota i do każdego je wrzucał, a gdy dzwony już były odlane, on jeszcze coś przy nich robił samotnie. Gdy zegar stał już na wieży — Jaśko znów przy nim majstrował tajemnie.

Wreszcie dzieło Jaskowe zostało skończone. Nazajutrz miało się odbyć solenne święcenie zegara, a Jaśko na tę noc ostatnią zamknął się sam jeden na wieży.

Gdy północ nadeszła, Jaśko zegar w ruch puścił i zabrzmiał zegar pierwszym kurantem. A Jaśko wychylił się z wieży i w okno Daneczki wpatrzony, wołał tak szeptem stłumionym:

— Zbudź się Danko, zbudź i słuchaj, a wtedy drugi raz się zbudź!

I rozwarło się okno w Danki komnacie i ujrzał w niem białą dziewczeczkę.

A zegar grał. Nad miastem uspionem płynęła melodia, melodia tak cudna, że strażę na murach stanęły, nie śmiejąc wypuścić oddechu. I zdało się im że to się rozwarły niebiosy, że nabożeństwo to słysząc przed tronem Chrystusa: aniołów śpiew i trąb ich granie i bicie dzwonów w niebieskim kościele. Psy nawet w podwórzach, głowy podniosłszy, słuchały i koty na dachach stanęły, słuchając uważnie i gwiazdy mrugać przestały, a oczki szeroko rozwarły się słuchały.

A w oknie otwartem słuchała, słuchała dziewczeczka. Rączęta przy buzi złożyła i zdało jej się, że sama jest dźwiękiem, że płynie w powietrzu, rozlatuje, opada, kołysze się jak liść wiatrem niesiony, to mknie jak jaskółka, to jak orzeł pod niebem kołuje. I tak jej lekko, tak słodko, tak dobrze... Nie czuje ni

ciała swego, ni życia, wie tylko, że „jest“, że „jest i że nigdy nie zginie.

Ucichła muzyka, lecz Jaśko skazówkę pchnął dalej i znowu rozległo się granie, a Danko znów płynie, płynie wzwyż, bez końca, aż oto widzi jakiegoś światła cudnego jaśnienie. Światło bez ognia! Roztoczą promienną wkrąg i wdał i wgląb — nie światła ale wszechświat wypełnia, a ona przed światłem i przed tym bezmiarem taka mała-maleńka, ale czuje, że rośnie, że coś się w niej budzi, coś wybiera... i widzi jak światłość przezrocza z jej ciała wybliska i sączy się glorią złocistą. I rośnie ta światłość, pół nieba ogarnia, łączy się z tamtą światłością przedziwną i niema już dwóch światła, a jest tylko jedno.

I znowu pieśń się skończyła, lecz Jaśko skazówkę pchnął dalej i zegar nowym rozbrzmiał kurantem.

I oto te światło złociste poczęło różowić i ciepło rozlało się z niego cudowne. A w świetle tem widzi — coś wstaje nowego, coś idzie i idzie... Ach, serce jej rwie się do tego! Jakaś postać znana od dawna, postać cudowna, umiłowana... Ta postać jak drugie jej „ja“. Ach, widzi i wie już, toć to jej kochanek odwieczny, to jej połówka do wspólnej całości! To... Boże! To Jaśko! I spływa w objęcia drogiego. Świat niknie z jej oczu... Serce w niej się ucisza... Nic niema... Jest wszystko!... Oni — to wszystko.

Ucichło granie. W oknie stoi biała dziewczeczka, rączęta złożone przy buzi, rumieniec jej liczko okraślił i pierś jej głęboko faluje. Cisza. Ona stoi i słucha... Słucha muzyki, co w niej gra pieśnią bajkową. Stoi, nie czuje, że czas mija, nie czuje że żyje, wie tylko, że „jest“ i wie jeszcze, że... kocha.

DOKOŃCZENIE NASTĄPI.

POSKROMIENIE KRNĄBRNEGO.

PODLUG XANROFA.

Nowy abonent telefoniczny chce spróbować dopiero co założonego aparatu. Z powagą prawowitego właściciela, który zapłacił pokązną sumę zarządowi telefonów, zdejmując słuchawkę i czeka.

Nowy abonent czeka długo, bardzo długo.

Wreszcie ostry dzwonek — znak, że go słuchają. Przyklepia się cały do słuchawki.

ABONENT (trochę zdenerwowany). Hallo!

GŁOS KOBIECY. Hallo?

ABONENT. Chciałbym się połączyć z panem Nowickim.

GŁOS KOBIECY. Jaki numer?

ABONENT. Ach, tak... Dwanaście tysięcy sześćset dwadzieścia siedem.

GŁOS KOBIECY. Takiego nie mam.

Daje się słyszeć suchy trzask w aparacie, potem daleki niewyraźny dźwięk, przypominający łupanie suchego drzewa i uderzanie kropel deszczowych o szybę.

ABONENT (w najwyższym zdumieniu). Jaktó? To widocznie pomyłka! (Rozpoczyna od początku procedurę wywoływania stacji i tym razem musi czekać nieco dłużej; wreszcie ostry dzwonek i w słuchawce rozlega się „Hallo“). No więc? Co się z panią stało? Nie chce mnie pani połączyć z numerem dwanaście tysięcy sześćset dwadzieścia siedem?

GŁOS KOBIECY. Takiego niema.

ABONENT (wpadając w pasję). Cóż to znowu? W spisie telefonów, który mam przed sobą, numer ten znajduje się na stronie 127, wiersz 18 od dołu.

GŁOS KOBIECY. Nikt się z panem o to nie sprzecza.

ABONENT (osłupiały). Dobre sobie! Przecież właśnie pani...

GŁOS. Dlaczego pan nie prosi numer tak, jak pan powinien?

ABONENT (nic nie rozumiejąc). Tak jak powinienem?...

GŁOS. Oczywiście! Po szóstce trzeba zrobić pauzę!

ABONENT (rozumiejąc jeszcze mniej). Co, co? GŁOS (wyjaśniająco). Sto dwadzieścia sześć — dwadzieścia siedem.

ABONENT (z gniewem). Co, o takie głupstwo pani chodzi tylko? No, nie pani!

GŁOS. No więc? Czekam!

ABONENT. Jakto — pani czeka? A według pani, ja co robię?

GŁOS (tonem, jakim nakazuje się niegrzecznym dzieciom, aby przeprosiły). Niech pan poprosi numer jak należy.

ABONENT (w pasji). Dostyc już tego!

GŁOS. Ze mną pan rozmawia w ten sposób?

ABONENT. Nie — z ministrem! (Pauza). Więc jakże, myśli pani... (Suchy trzask i dźwięk spadającego gradu — znów rozłączenie). Znowu rozłączyła! (Wściekły). Hm, zobaczymy... (dzwoni bez przerwy do stacji. Ostry przeciągły dzwonek i gniewne krzyki „hallo!” dają się słyszeć po dłuższej pauzie. Abonent triumfuje). No, dzięki Bogu, raczyła się pani odezwać! Jeśli pani sądzi, że pozwolę z siebie żartować, to grubo się pani myli! Niech pani sobie to zapamięta!

GŁOS (bardzo uprzejmie). Skończyłeś już?

ABONENT (duszając się z gniewu). Za... zabraniam pani mówić do mnie per ty! (Półgłosem). Chamka jakaś!

GŁOS (wściekły, wzbijając się na najwyższe rejestry mowy konwersacyjnej). Chamka? Mnie nazwał chamką! Ładnie obrażać kobietę! Zwierzę! Wstrętne zwierzę! Grubijanin! Potwór jakiś! (z przekonaniem). Jest pan człowiekiem bez najmniejszego wychowania!

ABONENT (drżąc z pasji). Niech panią wszyscy djabli!... (Krrr... Połączenie znów przerwane. Abonent zajadle dzwoni. Wreszcie, po bardzo długiej chwili, stacja odzywa się).

GŁOS KOBIECY (bardzo łagodnie). Co pan sobie życzy?

ABONENT. (drżąc jeszcze z oburzenia). Pani wciąż gra rolę niewiniątka?...

GŁOS KOBIECY (ze wzburzeniem, zdziwionym tonem). Co takiego?

ABONENT. Przecież pani doskonale wie, o co mi chodzi! Przeklęty babsztyl!

GŁOS KOBIECY (tonem niezwykle zdziwionym). Przepraszam pana! Czy pan wie, z kim pan mówi?

ABONENT. Wiem, do wszystkich djabłów! Z upartą jak osieł i nadzwyczajnie podłą babą!

GŁOS KOBIECY (z wściekłością). Pani! Są wyrazy, których nie usprawiedliwiają nawet przekonania polityczne!

ABONENT. Przekonania polityczne? Dobre sobie! Teraz z tej beczki zaczyna!...

GŁOS KOBIECY. I jeżeli dowiem się kiedy o pańskim nazwisku...

ABONENT (wrzeszczy z całej siły) Moje nazwisko? Pani chce wiedzieć moje nazwisko? Co, pani myśli, że się boję? Nazywam się Jabłoński! Agapit Jabłoński! Marszałkowska 180! I najuprzejmiej na panią gwizdzę — wogóle i przez telefon w szczególności!!!...

GŁOS KOBIECY. No, wie pan! To już nadto! Pan mnie jeszcze pozna! I wtedy pan się dowie, czy można obrażać bezkarnie żonę posła (połączenie przerywa się).

ABONENT (tracąc głowę) Co? Jak? Żonę posła? Więc rozmawiałem w ten sposób... z żoną posła?... No, niema co gadać, nawarzyłem sobie piwa! Ale, do diabła, jak to się stało? (znów dzwoni). Hallo!

GŁOS KOBIECY. Hallo!

ABONENT. (ostrożnie). Z kim mam zaszczyt mówić?

GŁOS KOBIECY (z zadowoleniem) No, dzięki Bogu! Nareszcie zaczyna się pan wyrażać przyzwyczajenie! (Bardzo grzecznie). Szanowny panie, mówi pan z tą samą telefonistką, z którą pan rozmawiał przed chwilą.

ABONENT. A do diabła!... (hamuje się). Niech mi pani powie, z kim mnie pani dopiero co połączyła?

GŁOS (niewinnym tonem). Doprawdy, że sama nie wiem. Ponieważ zdawało mi się, że pan oszalał, a nie lubię, kiedy mi mówią rzeczy nieprzyjemne, więc połączyłam pana z pierwszym lepszym numerem.

ABONENT (skacze jak warjat). Z pierwszym lepszym? To podle z pani strony! Cóż pani sobie pozwala na jakieś głupie żarty?...

GŁOS (zniecierpliwiony). No, już dosyc tego! Znow mi pan zaczyna dokuczać?

ABONENT (tracąc panowanie nad sobą). Dokuczać?! Gdybym miał panią tu pod ręką, tobym panią spoliczkował! Zrozumiano? Spoliczkował!

GŁOS MĘSKI (drżąc z wściekłości) Co, spoliczkował? Mnie? Pułkownika Skórewicza?!

ABONENT (przestraszony) Pułko... Masz sobie! Teraz znów pułkownik...

GŁOS MĘSKI (ryczy tak, że mało słuchawka nie pęknie). Nazwisko pańskie! Mów pan zaraz swoje nazwisko, podły tchórz!

ABONENT (jąkając się ze strachu) Prze-praszam — pa-pa-

GŁOS MĘSKI (groźnie) Papa...?

ABONENT. Pani pułkownik! To omyłka... wina telefonistki!... Najmocniej pana przepraszam, panie pułkownik!

GŁOS MĘSKI. Nie potrzebne mi pańskie przeprosiny! Uszu pańskich potrzebuję! I dobiore się do nich, żeby je panu obciąć, jakim Skórewicz! Pan sobie jakieś żarty ze mnie stroi, co? Ja panu pokazę! Może pan być spokojny, że dowiem się pańskiego nazwiska od telefonistki... i porachuję się z panem, niech pan o tem nie wątpi.

(Suchy trzask. Połączenie przerwane).

ABONENT (posepnie) Jestem zgubiony! (tonem błagalnym). Hallo! Hallo! Błagam przebaczenia! Proszę zapomnieć o tem, co powiedziałem! Proszę mi wybaczyć!

GŁOS TELEFONISTKI (kapryśnie) Doprawdy, nie wiem, czy powinien panu przebaczyć...

ABONENT (w ostatniej złości) Co, znów ona? Pani myśli, że to ja tak przed panią się unizam?... O, co to, to już nie!

ALEKSANDER ORŁOWSKI 1777 — 1832.



GRUBY SZLACHCIC.



Ze zbiorów St. Neumanowej.
CHUDY SZLACHCIC.



GŁOWA PIJAKA.



NIEDŹWIEDŹ I PSZCZOŁA.

GŁOS Pan nie mnie przeproszał?

ABONENT (wzburzony) Co?! Panią mam przeproszać?...

GŁOS. Sądziłam... (Pauza. Dzwonek. „Hallo! Hallo!”) Tutaj jakiś pułkownik, zdaje się, Skórewicz, dopytuje się, kto z nim mówił przed chwilą. Zdaje mi się, że to pan.

ABONENT (z denerwowany) Nic podobnego! Nawet go nie znam!... Hallo! Niech pani nie wyłącza (przemagając się) Proszę panią mi wybaczyć. Bardzo proszę!

GŁOS (z zadowoleniem) No, nareszcie! Ani na chwilę nie wątpiłam, że pan zrobi się tak miły, jak inni. (Uroczyście) Proszę przysiądz, że pan już więcej nie będzie rozmawiał w podobny sposób!

ABONENT (podnósząc rękę) Przysięgam! A teraz, pozwoli pani, że ją poproszę... że ją będę niepo-

koił prośbą, aby pani była tak uprzejma i zechciała mnie łaskawie połączyć z numerem dwanaście tysięcy...

GŁOS (mocno) Znowu?...

ABONENT. Na litość boską, niech mi pani wybaczy (poprawia się) Sto dwadzieścia sześć — dwadzieścia siedem.

GŁOS (słodko) Doprawdy, że panu nic nie można odmówić (bardzo uprzejmie). Połączę pana z tym numerem za dwadzieścia minut, gdyż teraz idę na śniadanie; rozumie pan przecież!...

ABONENT. Ależ! Proszę bardzo!...

I, zupełnie już poskromiony, nowy abonent bierze krzesło, książkę i, siadając wygodnie, cierpliwie czeka.

SPOLSZCZYŁ R. S.

M. H. SZPYRKÓWNA.

KLECHDA O ZBRODNI MATKI.

*Niech nas bronią Jezus i Maryja!
Grzeszna matka swe dziecko zabija—
bieży sama nieprzejrzaną nocą
gdzie wichrzyska w pustce się szamocą—
dół głęboki grzebie u rozdroża
wrzuca dziecko do zimnego łoża.*

*— „Zawrzyj oczka, syneczku mój maty,
by matczynej hańby nie widziały!
Stul usteczek najśliczniejsze płatki,
by zaś kiedyś nie przekłęty matki!
Czarna ziemia mrokiem Cię otuli—
Luli luli, mój syneczku, luli!”*

*— Czuwaj przy nas, najświętszy aniele!...—
Przeminęło czasu mało—wiele,
aż nastaje oto dzień trzynasty
Trupi księżyc burzy wodę w rzece,
po cmentarzach błędzą sine świece,
na rozdrożu jęczy wiatr przez chwasty.*

*Zaś we dworze o północy w bieli
matka cicho skrada się z pościeli!...
„—Co tam robi mój synek w omroczy?...
Czy gad śliski już mu wyżarł oczy?...
Czy mi serca ranić już nie może
żrenicami, jak anielskie noże?...”*

*Bieży chytkiem sama przez pastwiska
—do rozdroża przybieżata zbliska,
Tchu nabrała w piersi ile—tyle
i ku syna przypada mogile.
Aż tu z grobu—Matko litościwa...
Głos człowieczy ku niej się dobywa!*

*Trupiem światłem nów obielit trawę—
widzi matka przeraźliwą zjawę!
Na mogile—o męko dla ducha!—
oślizgnięta czołga się ropucha!
Z pyska ciecze jej zatruta ślina—
— Czy poznajesz matko, twego syna?...—*

*Omartwiała matka—zabójczyni!
Drewną ręką znamię krzyża czyni—
lecz krzyż święty nie chce jąć się dłoni
którą zbrodnia dzieciobójcza ploni!
Zaś gauzina—Święci, bądźcie z nami!...—
Straszliwemi rechoce słowami:*

*—Spójrzij na mnie, o mateniko miła!
Jam jest syn twój, któregoś zabita!
Moja duszka, niby płomyk nikła
w gwieźdzanych sieciach pod niebem się wikła,
i tak długo jej nie puszczą siecie,
ile żyćbym musiał tu na świecie!*

*A zaś z ciała wyzutego z ducha
w dzień trzynasty złągła się ropucha.
Bożej duszy wróg imać się lęka,
Lecz na żywot czyha jego ręka!
Bo, że bytu stworzyć sam nie może,
więc u Boga rabuje, co Bożel*

*Dla wyklętych kolej jest jednaka:
potem czart mię zmieni w wilkotaka.
W wilkotaka, co krew ciepłą chłepce
z matych dzieci, placzących w kolebce,
a po nocy, sprawą Czarnej siły
w nieświęcone kryje się mogiły!*

Jeszcze potem, gdy nastanie pora,
w przekłętym zmienię się znachora.
Będę wioskom zawiązywał zboże,
trupie kości rzucam pod zaproże,
Błędny dziewczkom dawał czarne ziele,
by wypłenić grzech w skalaniem ciebie!

Aż nareszcie miara się wymierzy,
i dosięgnę Wiekuistych Dźwierzy!
By, przeszedłszy Straszliwą Drabinę,
Zażyc zemsty, zanim znowu zginę
i przez przemian tysiącznych katusze
od Nicości wspinać się po duszę!

I gdziekolwiek będziesz w tej godzinie:
pozew kary, matko, cię nie miniel
I czy piekiel cię wyrzuci łuna,
czy na ziemi padniesz od pioruna,
czy w Niebytu wsiąkniesz otchłań ciemną:
na dzień Sądu stawisz się wraz ze mną!

A przedemną, niby poczet krwawy,
legną wszystkie moich zbrodni sprawy:
Wszystkich domów pokalane wnętrza,
krwi niewinnej struga przynajświętsza,
wszystkie krzywdy, też oblane morzem—
a ty staniesz tylko z twoim nożem!

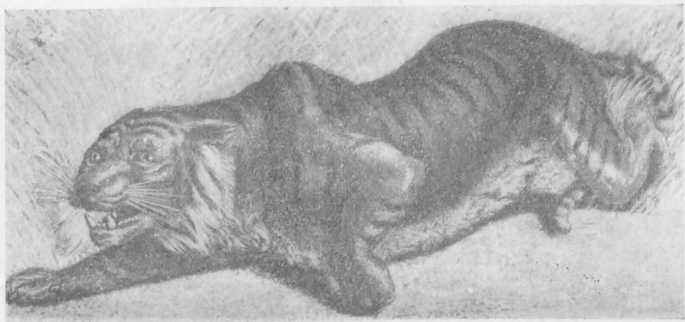
Wówczas kary kamienna ślepotą
sąd ogłosi uderzeniem młota!
I na jedną szalę moje zbrodnie
złoży wszystkie, spełnione wyrocznie—
a na drugą—tylko nóż twój wraży!
I—o matko! Twój nóż je przeważy!

I z ciężkiej potępienia szali
żadna moc cię, matko, nie ocali!
I od zbrodni, którąś popełniła,
żadna ludzka cię nie wyrwie siła,
bo cię Szatan porwie w swoje pęta,
—boś przekłęta! przekłęta! przekłęta!...

Amen, amen, amen opowieści!
Wiatr już nawet w chwastach nie szeleści,
Północ czegoś nastuchuje głucha:
—Na rozdrożu ktoś leży bez ducha!
W martwych oczach zastygło konanie—
—Bądź jej łaskaw, litościwy Panie!...

KAP. GEORGE.

CZŁOWIEK O TYGRYSIM WZROKU.



Stało się to w Indiach angielskich, w tych tajemniczych Indiach radżów, gdzie tygrysy przychodzą pić wodę Gangesu, osrebrzoną promieniami księżyca.

Otrzymawszy rangę porucznika, pojechałem tam do swego garnizonu i robiłem częste i długie wycieczki konno po tym nieznanym kraju, którego każdy zakątek rzucał na mnie jakiś nowy czar.

Pewnego wieczoru, dałem się zaskoczyć przez zmrok i zwracając z drogi, przygotowałem się, aby przyspieszyć biegu, kiedy nagle o kilka kroków wy-

loniła się z półcienia postać człowieka o wysokim wzroście, ze strzelbą na ramieniu, w okularach automobilisty, które zakrywały w zupełności jego oczy.

Koń wspiął się i skoczył w bok, lecz jakoś się utrzymałem na siodle. Nieznajomy był Europejczykiem, który mię pozdrowił przyjaznym gestem.

Przedstawiliśmy się w krótki sposób i dowiedziałem się, że nieznajomy nazywa się William Gerard Buxley.

Następnie wskazując mi ręką niski dach szałasów wśród zarośli, rzekł:

— Oto moje mieszkanie. Czy zechce mi pan zrobić przyjemność i wypić filiżankę herbaty? Opowiem panu bardzo ciekawą historję.

I odrazu, pociągnięty jakąś nieprzepartą siłą, zaczął mi się zwierzać:

— Otóż znajdujemy się w miejscu, w którym po raz ostatni widziałem swoją narzeczoną Daisy... przyjechała tu do moich krewnych... Następnie zapadła noc... To była godzina odjazdu... Towarzyszyłem gościom jakiś czas przez lasy... W końcu oddaliłem się... Zaledwie odszedłem parę set kroków, usłyszałem straszny krzyk... Zawróciłem momentalnie... po to tylko, aby się dowiedzieć, że tygrys



Ze zbiorów Cz. Rokickiego.

Polowanie na tygrysów w starożytności.

wypadł z zarośli, porwał Daisy z konia i znikł z nią.

Jakiś czas milczał, opanowany widocznym rozczuleniem, następnie ciągnął dalej:

— Wiedząc, że tygrys wraca zawsze, aby węszyć po śladach swoich ofiar, kazałem nazajutrz przygotować głęboki dół wzdłuż ścieżki, nakazując moim chłopcom niczem go nie opatrywać jedynie gałęziami bambasu, jak to zresztą jest zwyczaj, i uwiązałem młodą kozę tam dla przynęty. Tygrys przyszedł, skoczył i został pojmany żywy, bez jakiegokolwiek zranienia.

W miesiąc potem zabrałem go z sobą do Anglii.

Lecz cóż mi mogła obchodzić jego skóra, z podbrzuszem połyskującym, jak szron w promieniach słońca lub też żółte pręgi mieniające się, jak refleksy ognia na cichej wodzie jeziora?

Jego oczy jedynie opanowały moje myśli, jego oczy, w których zamarło ostatnie spojrzenie mojej ukochanej Daisy... I wieczorem, wśród ciemności szedłem do jego klatki, aby wpatrywać się w ich dziwne światła...

— Ah! panie, pan nie ma pojęcia, jakie wrażenie robią oczy tygrysa, które świecą w ciemności jak błędne ognie na cmentarzyskach!

Są to lampy, wysyłające promienie, które zatrzymują i fotografują niewidzialne rzeczy, są to gwiazdy ostępów leśnych, ukryte w zaroślach bambusowych, są to olbrzymie i nieuchwytnie barwy świetliste, zjawiające się na polach ryżowych, po których młode tury ochotnie się tarzają...

Znowu się zatrzymał na chwilę, a potem ciągnął dalej z energią:

— Przysiągłem, że wytepnię wszystkie tygrysy, ale nie tak jak pan, spacerując z Winchesterem w jasny dzień.

Do tygrysa, drogi panie, strzela się w porze, kiedy drzewa opuszczają swoje gałązki i płaczą w wieczornym wietrze... i patrząc mu w oczy tak, jak on na nas patrzy... Lecz, aby dokonać tego, potrzebowałem niestety jego oczu!...

Wkrótce odszukałem mego dawnego przyjaciela, sławnego chirurga Lewisa Lidlow... pan go za-

pewne zna?... prawda?... Jego prace o przeszczepianiu organów zwierzęcych są powszechnie znane... są to wprost cudowne rzeczy... On przeszczepiał łapki myszy ptakom, głowy jaszczurek rybom.

— Wyjmie mi pan oczy i włoży mi pan oczy tego zwierzęcia! — powiedziałem mu, oddając się mu całkowicie do rozporządzenia.

Nazajutrz rozpoczął swą pracę...

Przez trzy miesiące żyłem, oparty o ciepłą paszczę tygrysa... On i ja byliśmy wtłoczeni w przyrząd, uniemożliwiający nam jakikolwiek ruch... Najmniejszy ruch mógłby zerwać nerw optyczny, który nas łączył.

W końcu oczy moje wyschły i wypadły z orbit... Na ich miejscu znalazły się oczy tygrysa... spójrz pan!

Nagle mój rozmówca podniósł czarne okulary, a ja z trudem powstrzymałem okrzyk przerażenia.

Patrzył na mnie strasznymi oczyma tygrysa, w których zamiast źrenic były dwie tarcze fosforyzujące, wysyłające jakiś okropny blask w ciemnościach nocy...

I powtórzył jakby umyślnie:

— Do tygrysa, drogi panie, strzela się, patrząc mu w oczy tak, jak on na nas patrzy...

Czas było wracać. Podniosłem się i uściskawszy mu rękę, wskoczyłem na koń i oddaliłem się w galopie...

W parę dni potem brałem udział w nocnym polowaniu na tygrysy, które Maharadża Raputana ze zwykłym w takich razach przepychem urządził na cześć urzędników i oficerów swojej prowincji.

— Niech pan przyjedzie — rzekł do mnie major Patrick Reynold, spotykając mnie... ja pana szukałem... przedstawię pana naszemu nowemu gubernatorowi i jego młodej żonie, pani Daisy Dutterton, którzy przybyli wczoraj z Anglii.

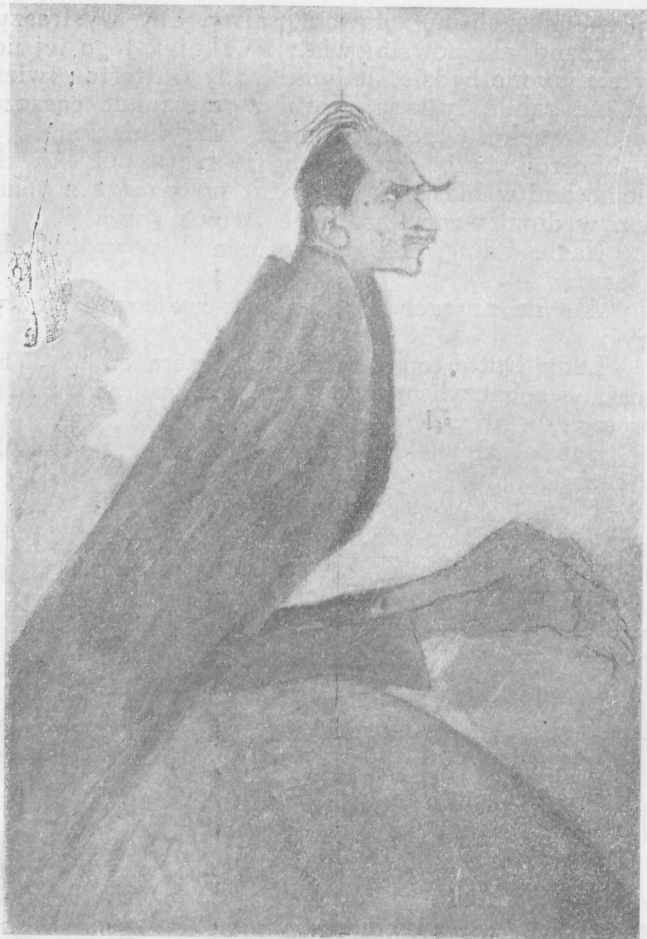
— Daisy?! — krzyknąłem zdziwiony.

— Czy pan ją zna?

— Nie... ale parę dni temu opowiedziano mi romantyczną historię o młodej panie tego nazwiska, która właśnie w tej okolicy została porwana przez tygrysa...



Z łupem.



K. SICHULSKI.

ZEROMSKI.



K. SICHULSKI.

DANIŁOWSKI.



W. WOJTKIEWICZ.



KAMIL MACKIEWICZ.

Bardzo prawdopodobne. — Ten pan, co siedzi przy stole, pisze właśnie w tej chwili: Szanowna Redakcjo! Co do notatki p. t. „Uwiedzenie małoletniej“, zamieszczonej w Kronice nr. 100 szanownego pisma, proszę, nie powołując się na § 19 ustawy prasowej, ale w imię słuszności i sprawiedliwości, o zamieszczenie sprostowania, że ani ja sam nie dopuściłem się tego nikczemnego czynu, ani nie mam nic wspólnego z indywiduum, które go się dopuściło, a które przypadkowo to samo co ja nosi nazwisko — „Liberum veto“, 1904).

Było nie było. — Czy mam przyjemność z nowomianowanym panem ministrem? — Tak jest, panie! — Otóż mam zaszczyt panu donieść, że pan już nie jesteś ministrem... — („Szczutek“ 1921).

nego z indywiduum, które go się dopuściło, a które przypadkowo to samo co ja nosi nazwisko — „Liberum veto“, 1904).

— Otóż to jest ta sama... Tylko że w rzeczywistości rzecz nie przedstawia się tak tragicznie... Wszyscy tutaj wiedzą, jak się to stało... Miss Daisy, jakby cudem ocalała, wychodząc z tego niebezpieczeństwa z lekką raną, której blizna na prawym policzku podnosi tylko jej urok... Lecz ona nie zaprzeczała pogłoskom, że została pożarta przez tygrysa i znikła z tej prowincji, aż do czasu swego zameścia.

— A dlaczego to? — zapytałem z ciekawością.

— Aby się uwolnić od jednego oryginała, który postanowił sobie, że się z nią ożeni...

Jakiś Burley czy Buxley, z którym nie mogła sobie dać rady... on zresztą, zdaje mi się, powrócił do Anglii...

Chciałem właśnie opowiedzieć majorowi moje przedziwne spotkanie z przed kilku dni, kiedy zjawił się posłaniec z wiadomością, że polowanie przerwano.

— Zaczęliśmy dawać salwy, aby wystraszyć zwierzynę, ale powstał wiatr i wskutek tego tej nocy nic już nie będzie. Jedyne, Lady Dutterton twierdzi, że zabiła tygrysa. Kazano przeszukać gąszcze. Jego Wysokość czeka na niego przy bufecie...

Pośród słoni, których bogate rzędy połyskiwały klejnotami w blaskach pochodni, maharadża z puha-rem w dłoni wznosił zdrowie swoich gości.

Nagle długi okrzyk oznajmił powrót ludzi z lasu.

Ale na noszach z gałęzi nie znajdował się tygrys.

Lady Dutterton zemdląła z przerażenia, — na noszach zobaczyliśmy trupa ze straszną raną, z której sączyła krew kroplami.

Był to człowiek o oczach tygrysa, trafiony kulą w czoło...

TL. ST. B.

JAK POLSKA DŁUGA I SZEROKA

G D A Ń S K.

Nasze, nie nasze, luźnemi węzłami tylko z Rzeczpospolitą związane, rozsiadło się dumnie nad Bałtykiem, wielkie portowe miasto Gdańsk. Wieki się składały na budowę jego gmachów wspaniałych, tworzyła je zabiegliwość kupców niemieckich i zdobyte przez nich bogactwa, zapominać jednak nie należy, że źródłem ich była nasza pszenica, splawiana Wisłą do morza, było drzewo naszych lasów. I wiedzieli o tem dobrze mieszczanie gdańscy, którzy korzystając z tego, że polski naród rycerski handlem się brzydzi, opanowali łatwo wybrzeże, przez rybaków kaszubskich zamieszkałe, zepchnęli ich na najwyższe stanowiska służebne, a przypochlebiające się królom i szlachcie polskiej, ciągnęli z płodów naszych olbrzymie zyski. Bywało, że i buntowali się czasem, wtedy gdy bogactwa ich rosły a wielka ojczyzna niemiecka, bojąc się, by od niej nie odpadły, wzywała ich do odporu przeciwko Polsce, wskazywała, że tylko ją wyzyskać trzeba, ale służyć jej nie należy. I zmagwały się na gruncie Gdańska dwa wpływy: niemiecki i polski. Zwycięstwo jednego z nich miało wyrokować o charakterze Pomorza.

Pomimo mądrości i zabiegliwości niemieckich przybyszów, nad miastem unosiła się słowiańska legenda, tkwiła w niej dawna tradycja książąt pomorskich, wznosiły się kościoły, w których lud okoliczny po polsku się modlił. Więc w nabożeństwach, narażenie, oba języki musiały być uprawnione, zależało to jednak wiele od zgromadzeń zakonnych, które osiedlając się w Gdańsku, budowały sobie kościoły i klasztory. Gdy skład mnichów był niemiecki, jak w pobliskiej Oliwie, gdzie Cystersi się usadowili, tam

odprawiano modły w germańskiej mowie, w kościele zaś np. Ojców Dominikanów modlono się po polsku; tu bowiem gromadzili się licznie miejscowi rybacy, flisacy i rolnicy. Dwa żywioły, aż tak odrębne, różniące się też stopniem kultury i wzrastającą zamożnością wśród kupiectwa a trwającym ubóstwem wśród naszych rybaków, żyły jednak zgodnie obok siebie; nie było tam zatargów; wprowadzić je miała dopiero Reformacja.

Gdańsk wcielony został do Polski za Kazimierza Jagiellończyka. W r. 1454 zburzono tam wtedy zamek krzyżacki, i to był ostatni rok panowania zakonu. Wprowadzone zostały do miasta prawa i ustawy polskie, a zarząd ukształtowany ostatecznie za Zygmunta Starego, składał się z senatu, czyli naczelnego burmistrza, trzech burmistrzów i czterech rajców, z których jeden był mianowany namiestnikiem królewskim. Sąd tworzyli ławnicy, podlegały im niższe sądy. „Centumwirat“, składający się ze stu posłów, wraz z senatem, ławnikami i starszymi cechowymi, tworzył „plebiscyt“, który obradował, rozstrzygał sprawy i wydawał prawa. Przy królu polskim przebywał stale rezydent miasta. Na jeneralne sejmy pruskie zbierali się delegaci sejmików wojewódzkich: gdańskiego, elbląskiego, golubskiego, kowalewskiego, świeckiego, tucholskiego, regnickiego, działdowskiego i wielu innych. Król nadał Gdańskowi prawo bicia monety; do dawnego zaś herbu dodał koronę, unoszącą się ponad dwoma krzyżami. Przytaczam umyślnie te szczegóły, aby udowodnić, że Polska, w czasie swego najwyższego rozkwitu, posiadała zdolności państwowe i nietylko wewnątrz kraju rządzić się umiała, ale także do-



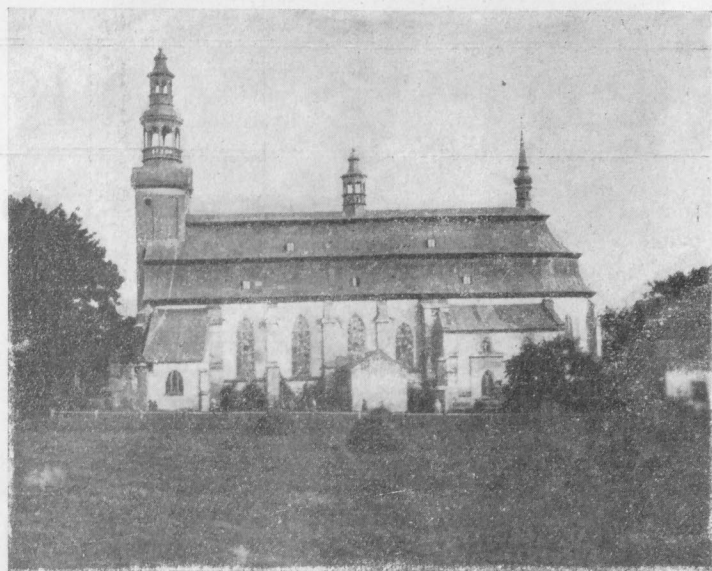
Ratusz gdański.

skonale organizowała społeczeństwo, oddając się jej w opiekę.

W chwili, gdy Albrecht Brandeburski wszczął wojnę z Polską w 1520 r., Gdańsk szczerze pomaga wojskom naszym; wraz z nimi milicja miejska obsadza miasta krzyżackie, zwycięża przychodzących im z pomocą Niemców, zdobywa i pali Kłajpedę. W 1569 r. na sejmie w Lublinie Prusy Królewskie uznano za wcielone na zawsze do Polski. Cóż jest jednak trwałego na świecie? Za Stefana Batorego mieszczanie gdańscy buntują się, wewnątrz miasta wre walka między luteranami a katolikami, odbierają sobie wzajemnie kościoły. Napady szwedzkie, będące ogólną klęską, łączą we wspólnym nieszczęściu, mieszczan gdańskich z Polską w zgodnym przymierzu; wystawiają tedy gdańszczanie 5.000 wojska na pomoc Rzeczypospolitej. Największy rozkwit miasta przypada na czasy panowania króla Władysława IV-go. Liczy Gdańsk wtedy 80.000 ludności. Urodzajne lata sprawiają, że moc pszenicy spławia wtedy Polska Wisłą do Gdańska; bogaci to mieszczan, czyni ich oddanymi Rzeczypospolitej; wysyłają wtedy swych posłów na sejm koronny. Gdy w Oliwie zawarto pokój ze Szwedami, Jan Kazimierz dziękuje uroczysto mieszczanom za ich wierność i dzielność w potrzebie. W r. 1677 przy-

bywa do miasta król Jan Sobieski, witany uroczysto przy Wysokiej bramie przez radę miejską. W późniejszych czasach Gdańsk oświadcza się za Stanisławem Leszczyńskim i w czasie gdy ten król przed stronnikami saskimi z kraju uciekać musiał, chroni go w swych murach i przeprowadza bezpiecznie do Francji. W r. 1773 już po pierwszym rozbiórze Polski, Gdańsk broni się i zostaje przy Polsce wolnym miastem, nie chce przyjąć jarzma pruskiego. Wojska niemieckie oblegają miasto, mieszczanie trzymają je przez tydzień u bram. Po zajęciu miasta skończyła się wolność; sam rząd, tak rozumnie zorganizowany, przestał istnieć; Gdańsk stał się jednym z prowincjonalnych miast pruskich.

Ten krótki zarys historyczny jest niezbędnym dopełnieniem naszej wędrówki po dzisiejszym Gdańsku, tak nam obecnie obcym i wrogim. Wbrew nienawiści pruskiej do wszystkiego, co polskie, wbrew temu, że obecnie miasto stało się gniazdem hakaty i centrum nacjonalizmu niemieckiego, stare mury zachowały niezatarte piętno dawnych rządów polskich i wymownie o nich świadczą. Poczynając od sąsiadującej z miastem Oliwy, gdzie stary klasztor Cystersów jest jednym z najdawniejszych zabytków budownictwa wiślańsko-bałtyckiego, widzimy tam odtworzoną w portretach i zabytkach całą niemal słowiańską przeszłość Pomorza. Wizerunki dawnych książąt pomorskich, a potem królów polskich. Co więcej, dokumentem polskiej kultury jest wspinały ogród, otaczający klasztor, a założony przez ostatniego, przed zaborem Pomorza, opata Cystersów Jacka Rybińskiego. Przypatrzmy się potem owemu „gniazdu polskości“, jakim był zawsze w mieście kościół Św. Mikołaja. Najpiękniejsza w nim kaplica poświęcona jest pamięci Św. Jacka Odrowąża, który ten kościół ufundował. A teraz stajemy przed wspaniałą świątynią: kościołem Marjackim, pod budowę którego położył kamień węgielny książę pomorski Świątopełk jeszcze w XIII wieku. Ar-



Kościół pocysterski, a dawniejszy zakonu Kartuzów w Kartuzach na Pomorzu.

tyści niemieccy i holenderscy ozdobili dziełami sztuki jego ściany, Polska bowiem, położeniem swoim geograficznym na wszystkie fronty zwrócona i na wszystkie fronty bronić się zmuszona, nie mogła oddawać się pracom artystycznym i posiłkowała się w tym względzie obcymi. Z wieży to jednak Marjackiego kościoła nasz wielki uczonec, który odkryciem swoim zrobił przewrót w świecie wiedzy, Mikołaj Kopernik, patrzył w gwiazdy i ich bieg określał. Przez książąt pomorskich wzniesiony też został starożytny kościół Ś-tej Katarzyny, na którego wieży w XVIII wieku urządzono muzykę o 35 dzwonach, wygrywających pobożne pieśni. Piorun uderzył za czasów rządów pruskich i zniszczył muzykę dzwonów. Przy starym kościółku Ś-tej Brygidy stała niegdyś cudowna studnia, a strzegły jej zakonnice-pokutniczki. Przyszły inne czasy. Studnia została zasypana, a kościół obrócono na więzienie wojskowe. Na całym szeregu kościołów jak: Karmelitów, Franciszkanów, pobożną ręką naszych ojców wznoszonych, narastały wpływy obce, zapanował w nich luteranizm, tylko w podziemiach pozostały się groby polskie.

Życie idzie naprzód, lśni, iskrzy się, rozwija, chęć zysku i użycia zagłusza smętną myśl pobożną, wznoszącą się ku niebu. Przypomnijmy sobie barwną opowieść Deotymy „Panienska z okienka“, której treść rozgrywa się w murach gdańskich. Jakież to piękne tło stanowią owe kamienice mieszczańskie o złożonych balkonach, o posągach je podtrzymujących, jakże bogaty i świetny w swoich strojach jest ten tłum, toczący się po ulicach; jeno go podziwiać i malować. I przesuwają nam się obrazy jego zgromadzeń w salach ratuszowych w barwne malowidła zdobnych. Jedno z nich zwraca szczególną uwagę. Przedstawia ono rozległą dolinę Wisły przy jej ujściu do morza, na którym suną liczne statki ładowne. Pośrodku równiny widnieje gmach giełdy „domem Artusa“ zwany, przed nim wodotryski. Zgromadzeni

tu kupcy czytają listy. Wysoko przerzucony jest łuk tryumfalny, na nim stoi miasto Gdańsk, okopami otoczone, z obłoków zaś wychyla się ręka trzymająca wieżę ratuszową. Na niebie widać napisy wyrażające wiarę w Boga i opiekę Rzeczypospolitej. A na murach ratusza widzimy jeszcze znamienne sentencje: „Wolne myśli i wolne słowa“. „Niech popędliwość i służebność będą ukrócone“. „Niech tylko sprawiedliwość tu rządzi“. Wysoka brama, prowadząca do głównej części miasta, także nosi znamienne napisy. „Sprawiedliwość i pobożność są podstawami wszystkich królestw“. A nad herbami Polski i Gdańska, umieszczonemi na tym łuku, który był wzniesiony na wjazd do miasta króla Zygmunta III-go, umieszczono zdanie: „Najmądrzej trzeba wykonywać to, co się czyni dla Rzeczypospolitej“, a dalej jeszcze: „Społeczeństwu przedewszystkiem potrzebne są: spokój, jedność i zgoda“. Widocznym wyrazem bogactwa dawnego Gdańska, jest wspinała sala w dworcu króla Artusa, t. j. Giełdy.

I rzecz szczególna, pomimo nazwy wskrzeszającej czasy dawnego rycerstwa, którego odłam krzyżacki odznaczył się grabieżą i rozbojem, mieszczaństwo gdańskie, jakby oceniając tę tradycję, umieścili w sali giełdy obraz, wyobrażający klęskę krzyżaków pod Malborgiem, a zwycięstwo Jagiełły.

Stare, dawne dzieje. Dziś komisarz angielski strzeże brzegu Bałtyku dla królowej mórz, Anglii, a pozornie nam przyznane prawo do Gdańska jest obwarowane tysiącem przepisów i zastrzeżeń. Walczyć musimy o polską szkołę, o politechnikę dla naszej młodzieży, my, cośmy obcych handlowych przybyszów, przyjęli na słowiańską ziemię pomorską, my, cośmy dali im wszelkie swobody i przywileje.

Jednak choć powoli bije godziny zegar dziejowy, to ostatecznie sprawiedliwość się spełni i w końcu tryumf odniesie.

I. W. KOSMOWSKA.

PO SZEROKIM ŚWIECIE

Z KRAINY WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA.

II.

Aprzecież Japonja jest „rajem dzieci“. W żadnym kraju nie otacza ich taka miłość i pieczołowitość, jak w Japonji.

Skorzystajmy więc chętnie z uprzejmości pani domu i zobaczmy jej małego synka, który przejęty zabawą siedzi za parawanem i od czasu do czasu głośno daje znać o swym zachwycie i radości. Zabawki jego srożą się i grożą takimi kształtami i mianami, że dziecko nasze możnaby niemi raczej nastrozyć, niż ubawić. Gdy je oglądamy, to wydaje się nam, że naraz przenieśliśmy się w jakieś królestwo bajki, w świat smoków, potworów, rozmaitych

dziwacznych stworzeń i zdarzeń. Latawiec, który leży między innemi drobiazgami w kącie, posiada duże, skośne oczy i kształtem swym przywodzi na myśl jakieś zmory, duszące i ssące krew.

W tem wszystkiem pyzaty malec, z czarnymi kociemi ślepkami i tonsurką jest jednak bardzo zadowolony, śmieje się i z uśmiechem zadowolenia usypia.

Patrząc nań, jak siedzi wśród stosu rupieci o kształtach dziwacznych, wydaje się, że to nie rzeczywistość sama, lecz jakaś scena bajeczna, albo też rzeczywistość, ale przejawskrawiona wprost nieprawdopodobnie.

Dzieci japońskie, choć miłe i sympatyczne ko-



Pani domu.

micznością groteski, są jednak mniej żywe, niż nasze.

Dodaje im dużo uroku ubiór i uczesanie. Pod tym względem „mały świątek“ nie różni się niczem od dorosłych. Kimona, w których się dzieci gubią, są może tylko więcej pstre i barwne. Ślicznie a bardzo osobliwie wyglądają na ulicach gromadki dzieci w sukniach, mieniących się w słońcu barwami — gdy na przykład wracają ze szkoły lub też gdy bawią się i biegają z latawcami.

Dziewczynki małe taką samą jak dorosłe damy noszą fryzurę, z zasadzonymi w kokach kwiatami, złotymi i srebrnymi pomponami.

Jak bardzo Japończycy kochają dzieci, świadczą święta specjalnie im poświęcone: święto nowego roku, święto lalek i święto chorągiewek.

Święto Nowego Roku, dawniej (przed wprowadzeniem kalendarza gregorjańskiego) w lutym obchodzone, jest świętem powitania przyrody, budzącej się wraz z bliską wiosną. Święto to ma w Japonii takie znaczenie, jak u nas święto Bożego Narodzenia; obchodzi się je najmniej przez trzy dni, czasem, gdy pora jest dżdżysta, przez tydzień i dłużej. W domkach robią gruntowne porządki i przygotowania tak samo, jak my na Boże Narodzenie. Japończycy wierzą, że szczęśliwie i wesoło spędzony nowy rok jest dobrą zapowiedzią i podobnie jak Niemcy w noc Sylwestrową, oczekują go czuwając.

Wnętrze mieszkania, podłogi wysypują kwieciami; ściany zewnętrzne stroją zielenią i kwiatami. Przed drzwiami wchodowymi wbijają długie bambusowe kije w ziemię i sadzą sosenki. Kije bambusowe, to wróżba długiego życia bez zmartwień i choroby. Sosenki zaś mają przepowiadać, że małżeństwa, w nowym roku zawarte, będą szczęśliwe i błogosławione. Sosenki i bambusy obwieszają zielonymi liśćmi, łańcuchami i girlandami ze słomy ryżowej oraz skrawkami papieru kolorowego.

Gospodyni przygotowała zapas placków ryżowych, chleba, wódki ryżowej. Obdziela nimi służbę lub obdarowuje znajomych i przyjaciół wzamian za ich upominki.

Dzień Nowego Roku rozpoczyna się, jak u nas, od życzeń. Następnie rodziny oczekują wizyt lub same się udają z wizytami. W miastach panuje wtedy ruch świąteczny i zwykle zajęcia są zupełnie przerwane.

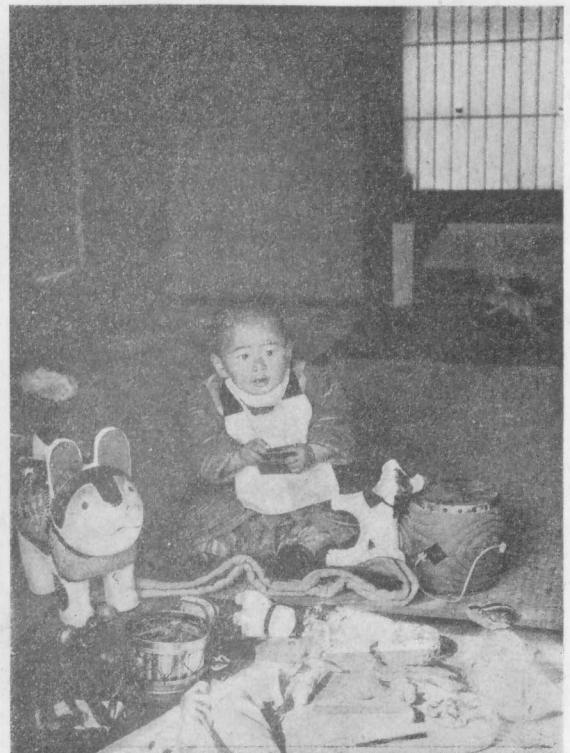
Najpiękniejsze zarobki mają herbaciarnie i stolownie. Na ulicach całe gromady kupią się koło śpiewaków ulicznych, muzykantów i kuglarzy.

Dzieci wszędzie muszą być i wszystko widzieć. Większe idą z rodzicami, mniejsze jadą ciągnięte przez biegaczy, w wózkach, również świątecznie przybranych w zielone gałazki, łańcuchy i girlandy ze słomy ryżowej i papierowe różnokolorowe latarnie. A matki z ludu noszą małe dzieci przywiązane na plecach w chuście.

Podczas świąt Nowego roku nie powinno dziecko płakać, tylko śmiać się i radować. Pokazują mu króliki tresowane, sztuczki kuglarskie z przebranymi małpami i inne pantominy w budach drewnianych. Chłopcom rodzice pozwalają lub sami uczą strzelać z łuku czy strzelby do celu, dziewczęta grają w piłkę. Wreszcie wszyscy, cała rodzina udaje się do teatryku marionetek (lalek).

Podobnie spędzają dzieci dwa inne święta. Święto lalek jest świętem dziewcząt i cała rodzina obdarza je wtedy upominkami. Święto zaś chorągiewek jest świętem chłopców. Chłopcy japońscy, jak i nasi, wolą raczej wojskowe zabawki: broń, żołnierzy, chorągiewki, niż lalki.

W Japonii rodzice nigdy nie karzą dzieci ciele-



Dziecko japońskie.

śnie. Starają się natomiast p o z n a ć i jak najlepiej uprzyjemnić im chwile. Bardzo często sami biorą udział w zabawach dziecięcych i obmyślają nowe niespodzianki, by dziecko czemś zająć.

Nic więc dziwnego, że jest ono miłe i grzeczne, posłuszne, że jest łagodne i rzadko unosi się gniewem, przeciwnie, gdzie może, okazuje dobroć młodszemu od siebie.

Nadzwyczajną pilność i cierpliwość, zalety, jakie później okazuje w szkole dziecko japońskie, w znacznej mierze kształcą się i utwierdzają takim wychowaniem.

A jest cierpliwość ta małemu Japończykowi niezbędną; sama już bowiem nauka pisma jest trudna i mozolna; dziecko musi pokonać te trudności. Skrócone pismo japońskie (kama) i hieroglify chińskie wymagają dużej dokładności i kaligraficznej ścisłości, czyli niebylejakiego wysiłku.

Dziecko musi walczyć ze sobą, co tem trudniej przychodzi, że przez siedem lat tylko się bawiło. Nauka zaczyna się w 8 lub 9 roku życia.

Zważmy, że wszystkich owych znaków jest 52.000.

Japońskie alfabety: katakana i hirohana (trudniejszy) składają się z 94 liter. Lecz znajomość hieroglifów chińskich dla nauki pomników literatury i historii jest nieodzowna. Potrzebna jest ona także w życiu codziennym, choćby dla odczytania napisów na ulicach, szyldów i t. p.

W czasie więc sześciu lat (od 8 lub 9 roku życia) pobytu w szkole w t. zw. „jūnio-sho-gwaku“ musi sobie dziecko dobrze przyswoić 10 do 11 tysięcy hieroglifów.



Śród tulipanów.

Lecz to nie wszystko. Musi ono całkiem dokładnie opanować język żywy, opanować wszystkie odcienia, musi nauczyć się orientować w skróconych sposobach pisania, w różnicy między literami drukowanymi a pisanymi. Prócz tego zaś znajomi się z kulturą europejską, uczy języka angielskiego lub innego obcego, a następnie na uniwersytecie przechodzi szczegółowo jakąś gałąź wiedzy.

Japończyk chce i umie przełamać te trudności. Porzucmy jednak narazie te sprawy i przestańmy rozmyślać nad losami żółtego, sympatycznego malca.

Niechaj sobie śpi w domku pod opieką uprzejmej mamusi. Sami udajmy się z resztą rodziny do ogrodu, skąd zalatuje nas przyjemna, odurzająca wśród upału, woń rozpylonych perfum.

Na niewielkiej przestrzeni, co za bogactwo barw! Otoczone drzewami bzu, wiązu, jodły, sliw, wiśni, brzoskwini, kąpią się w słońcu irysy, tulipany, glicynje i inne kwiaty, a wraz z przebijającą się zielenią murawy tworzą jakby jakiś drogocenny dzierzgany dywan. Podziwiać trzeba naiwną i szczerą wrażliwość, z jaką wyzyskano każdy zakątek i nierówność gruntu. Drzewa odpowiednio ugrupowane dostrajają się, tworząc piękną, szczęśliwą całość.

Nie brak tutaj i sławnych karłowatych kwiatów, i sosenek, sztucznie pielęgnowanych i zniekształconych. Widok ich nasuwa na myśl liljowe nóżki Chińek. Dziwna zagadka Wschodu! Piękność odnajduje w kontrastach z przeciętnością, w największej nawet brzydocie, skrzywionej w boski grymas!

A wśród obramowania z glicynij pokazują nam maleńki stawek, ukryty przed oczami ciekawych. Są na nim wysepki, silnie przerosłe mchem kawały skał i kładeczki z desek czerniałego drzewa. Mały raj dla żab wiecznie obierających króla. Ot, zabawka dla dużych dzieci, czułych na piękno!

Ładny ogródek jest dumą właściciela. Japończyk z rozkoszą patrzy, jak rozkwitają mu drzewa i kwiaty, troskliwie dogląda je i raduje się ich wzrostem. W japońskiej literaturze pięknej drzewa i kwiaty — to motyw, który wciąż się powtarza.

Z tak widocznym umiłowaniem przyrody, jakie zresztą dopiero buddyzm rozbudził w Japonii, wiąże się powszechnie obchodzone „święta kwiatowe“. W okresach, gdy kwitną drzewa i kwiaty, cała ludność, kto tylko może, zwiedza liczne parki miejskie, ogrody i pola, by nasycić się pięknem przyrody, napatrzeć pękem kwiecia.

Urządzają przy tej sposobności rozmaite zabawy. Pomysłowość japońska tutaj znów się wyraża w oryginalnej formie. Japończycy robią z różnokolorowych kwiatów i ich liści... figury ludzi, zwierząt, wreszcie całe krajobrazy, sceny z życia ludu, ze starych podań bohaterkich i legend i to tak zręcznie, że nabierają one z pewnej odległości wyrazistości żywej i pełnej właściwych barw.

Nawet zwyczajny bukiet układa kobieta japońska z dużym smakiem; potrafi też z niczego, nawet ze zwyczajnych liści jarzyn, stworzyć coś nowego i pięknego.

Tymczasem musimy pożegnać naszych przyjaciół, ponieważ zbliża się już południe i upał. Trzeba wracać na okręt. Do herbaciarni lub restaura-

cji iść się jakoś nie chce. Lepiej odłożyć to na godziny popołudniowe, a tymczasem przebrać się i odpocząć trochę.

Odwozi nas dżin do przystani na swym dwukolnym wózku. Przeciska się wśród barwnej fali przechodniów, wymija i biegnie wciąż niestrudzonego pędem. Wsiadamy na stateczek i po morzu lekko sfałdowanem dobijamy do naszego okrętu.

Lecz cóż tu znowu za widok? Po spuszczonej pomoście uwijają się ruchliwe, drobne postacie Japonek w białych lub kolorowych zawojach bawełnianych, upstrzonych nietoperzami i bocianami i Japończyków w dziwacznych kapeluszach z grubej słomy. Ładują węgiel. Woda pod pomostem zabrudziła się miałem, powoli spływającym z cichymi falami.

Robotnicy sprawują się cicho, spokojnie, wsuwają się na okręt, bez szelestu rozchodzą po nim, niedługo wszędzie ich już pełno, rozłają się z jakąś podejrzaną skwapliwością i zapobiegliwością, jak dobrze orientujące się szczury okrętowe.

Nieodzowny ryż, gotowany z czarnym sosem przywieźli w koszykach z sobą; w kwadrans po na-



Dzieci szkolne.

szem przybyciu przerywają pracę i zasiadają do posiłku.

I my pójdźmy ich śladem.

ROMAN ST. MILLI.

Z E S Z T U K I

ILUSTRACJE BIESIADY

NIECO O KARYKATURZE POLSKIEJ.

Wystawa karykatury polskiej od zarania do czasów obecnych, urządzona przez Towarzystwo opieki nad zabytkami przeszłości w kamienicy Baryczków w Warszawie, przesuwając przed oczyma i uprzytomniając rozwój w Polsce tego działu sztuki rysowniczej.

Pierwszym nowoczesnym karykaturzystą polskim był znakomity malarz z początków wieku XIX Aleksander Orłowski. Jego rysunki karykaturalne są pełne charakteru — jak i inne zresztą obrazy tego malarza. Znamienne cechy rysów twarzy i min oraz postaci i postawy oddaje nader trafnie.

Orłowski jednak jest nowoczesnym karykaturzystą tylko pod względem wysokiej kultury i poziomu techniki artystycznej. Tkwi on bowiem jeszcze w okresie, kiedy między rysunkiem karykaturalnym a niekarykaturalnym nie było tak wielkiego rozdziału, jak jest obecnie.

Nowoczesna karykatura chwytając przedewszystkiem i niemal wyłącznie cechy najwydatniejsze, pomijając szczegóły; przytem przesadza je i wyolbrzymia. Nowoczesna karykatura szuka wad i ułomności, by w nie uderzyć satyrą. U Orłowskiego tymczasem szarżą jest bardzo nieznaczna albo wcale jej niema, a rysunek karykaturalny uwzględnia wszystkie cechy postaci w równej mierze i wszystkie przedstawia dokładnie. Karykatura Orłowskiego, można rzec, jest karykaturą przez sam wybór tematu karykaturalnego, jest doskonale zaobserwowanym i oddanym obrazem osobników, a raczej typów wybitnie karykaturalnych.

Od Orłowskiego poczynając, mamy już szereg karykaturzystów. Jednak najbliżsi jego następcy nie dorównują mu

ani darem obserwacji ani talentem plastycznym. Dopiero nowe czasy wysuwają znów wybitne w tej mierze talenty.

Karykaturą bawią się najwybitniejsi malarze ubiegłego stulecia. — Grottger, Juliusz Kossak, Matejko.

Jednak nie są to karykaturzyści rasowi; wśród wielkich swych przedsięwzięć malarskich traktują karykaturę jako uboczną rozrywkę.

W drugiej połowie ubiegłego wieku najpopularniejszym karykaturzystą był Franciszek Kostrzewski. Dawał on dobre pochwycone i pełne humoru obrazki, nie pogłębiając jednak charakteru postaci. Skutkiem nader obfitej twórczości, stawał się bardzo czysto stereotypowym, powtarzając bez zasadniczych odmian te same typy, te same postawy. Był to przedewszystkiem humorysta, nie satyryk.

Natomiast prawdziwym i głębokim satyrykiem jest świetny karykaturzysta współczesny, Kazimierz Sichulski. Jego karykatury są nie tylko szarżą postaci, lecz zarazem przemyślaną satyrą charakteru, symbolicznie przedstawioną. Jakże przepysznie złośliwa jest na przykład karykatura Daniłowskiego, jako legionisty. Oto literat słaby ciałem, odwykły od trudów fizycznych, przywykły natomiast do wygod — przywdział mundur oficerski; ale cała natura jego mimowoli protestuje przeciw tej szacie, nie może sobie w tej roli poradzić. Stoi chuderlawy i niezgrabny; w jednej ręce trzyma — parasol dla ochrony od niepogody; szabla zaplątała mu się między nogi. Stał na rozdrożu zgnębiony, chwycił się za głowę. Koń o wyglądzie przepracowanej szkapki dorożkarskiej dopełnia nastroju frasunku. Czyż można było zręczniejsze i dowcipniejsze uzmysłowić charakter oraz przedstawić owo przeciwieństwo natury i chwilowej roli?

Towarzyszem Sichulskiego, niemniej odeń głęboim był Wojtkiewicz, zmarły przedwcześnie artysta o duszy wrażliwej i umyśle filozoficznym. W okresie bujnego rozkwitu sztuki w ośrodku krakowskim pracował razem z Sichulskim w doskonałym piśmie satyrycznym „Liberum Veto“. Typ to zresztą zgoła odmienny od Sichulskiego — pesymista, ujmujący najchętniej typy zinarnowane, beznadziejne lub przedstawiający świat w postaci zepsutych dzieci dorosłych.

Z pośród najmłodszych karykaturzystów wybija się na czoło Kamil Mackiewicz. Jego obserwacja bystra, jego linja tak śmiała, tak niezawodna a tak trafna i subtelna świadczy o wielkim talencie i wielkiej zarazem kulturze artystycznej. Dzięki tym zaletom, rysunki jego są to pod względem techni-

ki rzeczy imponujące, niezrównane. Innym typem wśród najmłodszych karykaturzystów, nie tak subtelnym w rysunku, lecz za to pełnym szczerego humoru wraz z trafną charakterystyką jest Świdwiński.

W karykaturze polskiej, jak i w innych rodzajach twórczości malarskiej odbijają się wyraźnie znamiona narodowe polskie. Niema w karykaturze polskiej ani okrutnej nieraz złośliwości i pesymizmu rosyjskiego, niema też takiej energii, jaką odznacza się karykatura francuska. Jest w niej zato skłonność do swobody w rysunku, a pod względem treści panuje bądź kpiarstwo pogodne, bądź satyra nie nazbyt zjadliwa.

W O L N E Ż A R T Y

ZAKONNICA.

Jestem zakonnica, będę zakonnica i zakonnica być nie przestanę, bo tacy piękni są ci dwaj porucznicy ananów z przeciwnika.

LEKARZE MIĘDZY SOBA.

— Co słyhać, kolego?
— Psi czas, przecież żeby nie ten pocziwy tyfusik, to-
byśmy nie mieli co w gębę włożyć.

U FRYZJERA.

— Jak mam pana ogolić?
— Milcząc.

W SASKIM OGRODZIE.

— Mamusiu, czy żołnierze nigdy nie mogą wychodzić
sami?
— Skądże znowu. Owszem, mogą.
— A dlaczego każdy idzie z jakąś służącą.

NIEMIECKA PARA NOWOŻEŃCÓW W PODRÓŻY POŚLUBNEJ.

Gdy wsiedli do wagonów, młody żonkoś pyta:
— Luba, dobrze w twym kąciuku?
— Bardzo dobrze, kochany.
— Nie czujesz zimna?
— Wcale.
— Okiennica dobrze zamknięta?
— Zupełnie dobrze, dziękuję.
— To proszę cię, zmieśmy miejsca.

WSZYSTKO W PORZĄDKU.

— Ale ale, jakże się skończyła pańska sprawa z tym
lotrem Prztyczkowskim... co to pana oszukał na sto tysięcy
złoty.
— Wszystko w porządku: ożenił się z moją córką.

CO MYŚLI.

Student do koleżanki:

— Po pani oczach poznaję, co pani o mnie myśli
— W takim razie jestem przekonana, że pan nie powie
tego nikomu.

KTO MA GUST?

— Nie podoba ci się mój kapeiusz — gwizdę na to.
Mnie się podoba. Ja mam gust a ty nie masz.
— To prawda: nasze małżeństwo najlepszym tego do-
wodem.

KONCERT RADJOWY.

Małżonek zasłuchany:

— Słyszę Londyn.
Małżonka podniesionym głosem.
— Ale nie słyszysz, że cię wołam na obiad.

NA ULICY.

Antek Cwaniak do jegomościa z cygaretem:

— Czy mogę prosić ognia?
— Owszem, proszę!
— Dziękuję uprzejmie, ale najprzód poprosiłbym o cy-
garko.

W CUKIERNI.

Jeden gość do drugiego:
— Zdaje się, żeśmy mieli przyjemność spotkać się z pa-
nem w cukierni zeszłego roku?
— Nie przypominam sobie. Więc pan mię zna?
— Pana nie, ale pański parasol.
— Ależ ja wtedy nie miałem parasola.
— Rzeczywiście, ale ja go miałem.

O JAKICH GŁUPSTWACH.

Żona wznosi rozmarzone oczy z nad książki, która ją
całkowicie pochłaniała i widzi, że mąż rozmyśla o czemś.
— O jakich tam głupstwach myślisz?
— Myślę, jakieś to była urocza, gdyś była młoda i gdy
mniej mówiłaś, niż teraz.

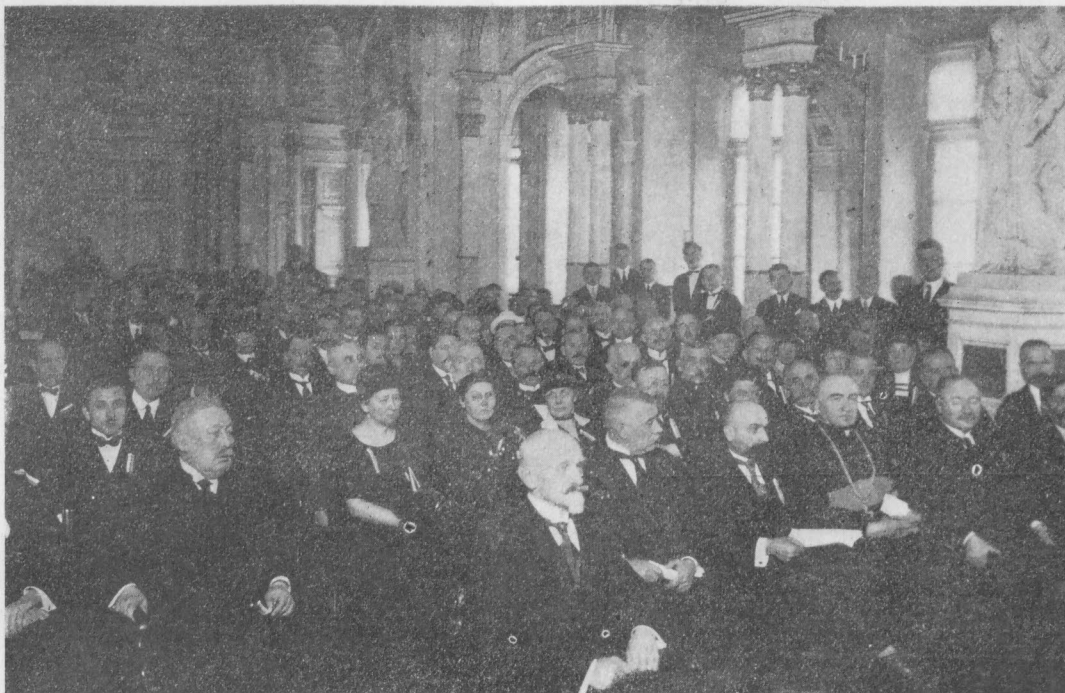
KTO SIĘ POMYLIŁ?

- Jakaż antypatyczna dama, prawda?
- To moja żona, panie... Pan się pomylił.
- Przepraszam pana, ale zdaje się, że przede wszystkim, pan się pomylił.

RACJA.

- Stara gspodyni do męża:
- Słuchaj Antek w przyszłym tygodniu nasze srebrne wesele. Zabijesz wieprza?
 - Co — zabić wieprza? Czyś oszalała. Dlatego że zrobił głupstwo dwadzieścia pięć lat temu, to teraz mam zrobić drugie.

C H W I L A B I E Ż A C A



Fot. H. Vlassak.
Pan Prezydent Rzeczypospolitej na otwarciu Kongresu towarzystw oświatowych, który się odbył w Warszawie.



Przysięga rekrutów w Warszawie na polu Mokotowskim.



Nowy poseł polski w Brukseli p. Szembek składa wieniec na grobie żołnierza nieznanego w stolicy Belgii.



Tytus Czyżewski, świetny malarz polski, przebywający obecnie w Paryżu.



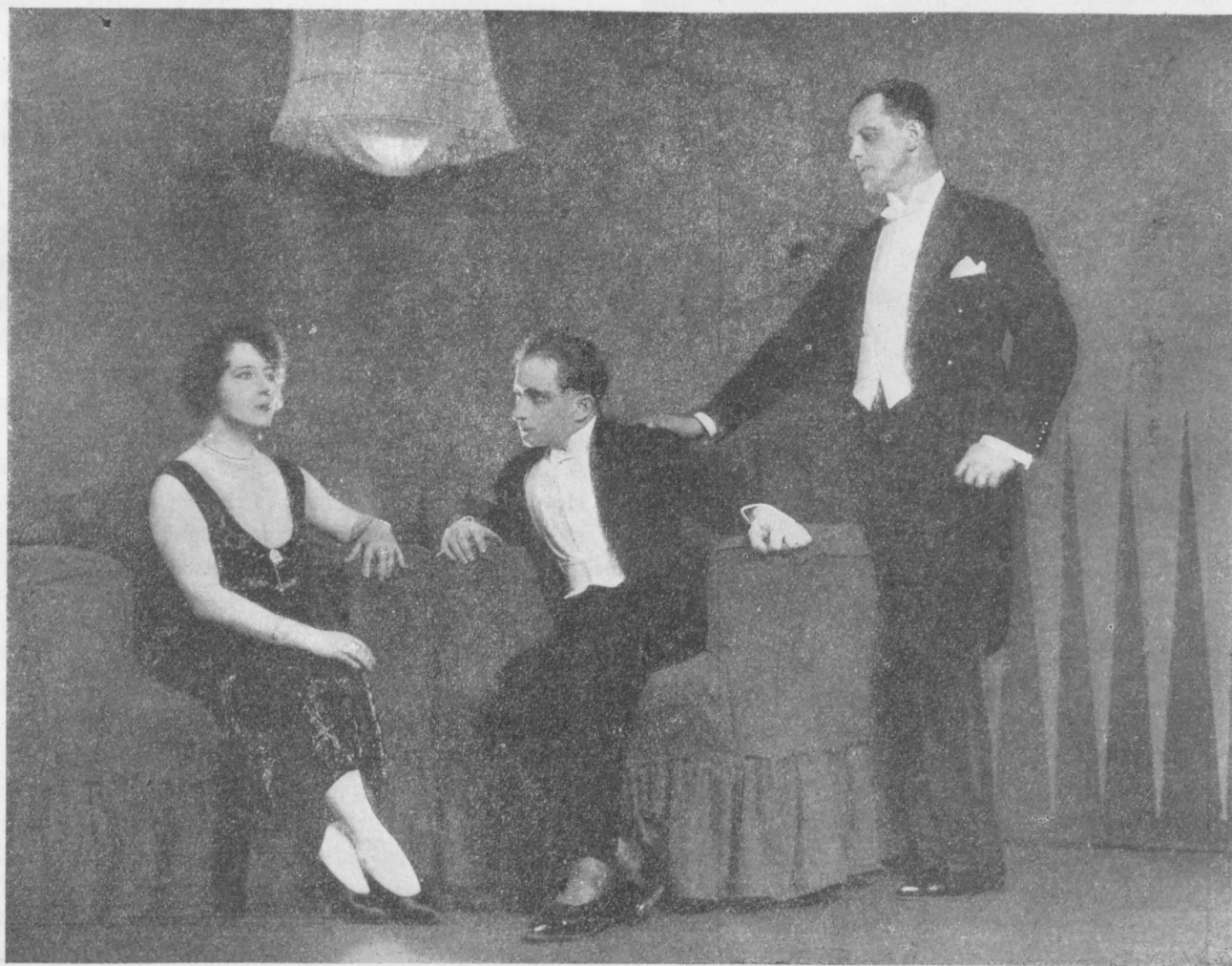
⊙gólny widok świeżo otwartej wystawy lotniczej w Paryżu.



TEATR POLSKI. — Malicka i Kuncewicz w „Świętej Joannie“.



Fot. St. Brzozowski.
Skarzyński, Malicka i Maliszewski w „Świętej Joannie“.

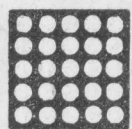
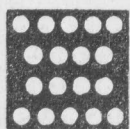
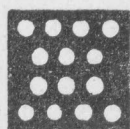
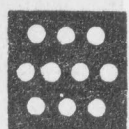
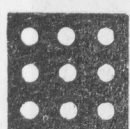
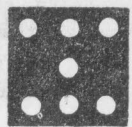
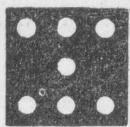
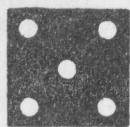
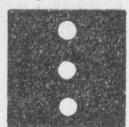
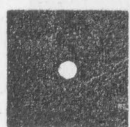


TEATR MAŁY. — Przybylko-Potocka, Wę gierko i Leszczyński w „Panu mego serca“.

P O Z N A J M Y S I E B I E.

III.

NA KILOMETRZE KW. ŚRĘDNIO MAJĄ MIESZKAŃCÓW :

BELGJA
253,0ANGLJA
185,8NIEMCY
144,9CZECHOSŁO-
WACJA 95,7WĘGRY
85,2FRANCJA
71,1POLSKA
70,2RUMUŃJA
54,9ŁOTWA
26,2NORWEGJA
8,6

Gęstość zaludnienia w Polsce jest średnio taka, jak we Francji. Jednak należy dodać, że gęstość ta jest u nas bardzo nierównomierna. Mianowicie mamy bardzo gęstą ludność na Górnym Śląsku, dość gęstą w Kongresówce zachodniej i w zachodniej Małopolsce, a rzadką na wschodzie Rzeczypospolitej.



World Photos.

Najstarszy koń w Anglii wraz ze swym starym wóźnicą, przyjacielem i opiekunem.

Z wydawnictw gwiazdkowych.

JAK KULUSIA ŻABY POZNAŁA. NAPISAŁ MELCHJOR WAŃKOWICZ. ZILUSTROWAŁ EDM. BARTŁOMIEJCZYK. — Wydawnictwo zakładu im. Ossolińskich.

Bardzo pięknym nabytkiem literatury dziecięcej w tegorocznym sezonie gwiazdkowym jest niewątpliwie historia o tem, „jak Kulusia żaby poznała“. Miły tekst napisał z odczuciem duszy dziecięcej M. Wańkowiec. Zilustrował książkę pięknie i obficie barwnymi ilustracjami znakomity grafik E. Bartłomiejczyk (razi tylko nieco, że wiek dzieci niezupełnie dostosowano do tekstu). Rzecz wydana bardzo ładnie, starannie, na dobrym papierze. Stanowić będzie jeden z najlepszych podarków dla naszych najmłodszych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pani Oldze W. Dziękujemy za pamięć i za słowa uznania. Nie umieszczamy, ale radzimy pracować dalej.

Redaktor naczelny: CZESŁAW ROKICKI.

Cukiernia Pomorska

JANA WITOLDA
POBÓG-BIELICKIEGO

Złota róg Wielkiej. — Tel. 136-44.

— Drugi dom od Marszałkowskiej. —

Najlepszym przykładem, jak przy usilnej pracy stworzyć można miłą i sympatyczną placówkę, jest obecna Cukiernia Pomorska.

Właściciel wspomnianej cukierni, p. Witold Bolesław Pobóg-Bielicki, nabył ją przed kilku laty i zastał ją w opłakanym stanie. Po gruntownym odnowieniu lokalu, urządzeniu sklepu i sali, zmontowaniu maszyn postawił sobie za zadanie, aby w pierwszym rzędzie stworzyć miły kątek spotkania solidnego towarzystwa, a także, aby wyroby swojej Cukierni doprowadzić do najwyższej doskonałości, wykwintu i zdrowotności. Aby uniknąć tak pospolitego we wszystkich cukierniach dotykania wyrobów rękoma, zakurzenia i przesiąkania dymem, wszelkie artykuły znajdują się w specjalnie cukrowych gablotach, wyjmując się je zaś za pomocą specjalnych szczypięc.

Dziwić się zresztą nie należy, że właściciel Cukierni Pomorskiej osiągnął jak najlepsze rezultaty swojej pracy, gdyż jest wybitnym fachowcem w swoim zawodzie.

P. Bielicki praktykę cukierniczą odbywał w cukierni Zawistowskiego w Warszawie, następnie w ciągu 10 lat pracował u Semadeniego, jako jeden z pierwszych pracowników i został dwukrotnie nagrodzony na Wystawach za własne wyroby cukrów, czekolady i cukiernicze.

Po wyjeździe z kraju założył w Kownie 2 pierwszorzędne cukiernie i prowadził je przez lat 11. — Ze względu na prześladowanie przez litwinów, zmuszony był sprzedać swoje cukiernie za bezcen, wobec czego został zupełnie zrujnowany. P. Bielicki był solą w oku litwinom ze względu na to, że po za swoją pracą zawodową, całkowicie oddawał się pracy społecznej, zakładał kooperatywy, szkoły, Tow. Kulturalno-oświatowe, jak „Lutnię” i inne, oraz prowadził pracę konspiracyjną na Litwie w duchu polskim.

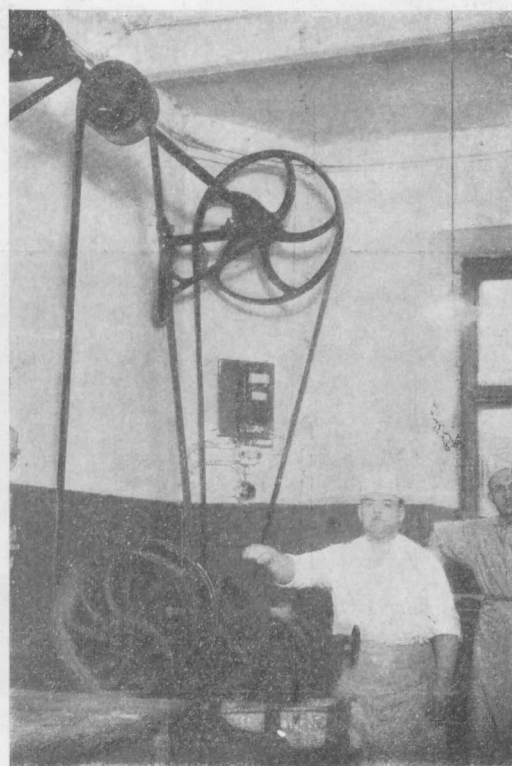
Państwu Witoldowi Pobóg-Bielickiemu, życzyć należy dalszej owocnej pracy, a także popierać placówkę z takim trudem i ciężką pracą zdobytą.



SALA.



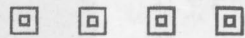
SKLEP.



CZĘŚĆ
MASZYN

Restauracja Stanisława Fabiszewskiego

Marszałkowska 69 I piętro. Telefon 150-67.



W roku bieżącym upływa lat 30 od chwili założenia Restauracji i prowadzenia jej pod moim osobistym kierownictwem i wyłącznie prze zemnie.

Restauracja moja, jak sami stali bywalcy mówią, „jest jakby klubem, gdzie od 30 lat zbierają się stali Goście i spokojnie wieczór spędzają, mając i to zadowolenie, że obsłużeni są solidnie, a w pierwszym rzędzie tanio“.

Mogę śmiało zaznaczyć, że utrzymanie przez lat 30, ku zupełnemu zadowoleniu Gości, pomimo ciężkich i zmiennych czasów, Restauracji mojej wyłącznie w moim ręku, zawdzięczam głównie łaskawemu poparciu moich Gości, wśród których znajdują się i tacy, którzy od pierwszego dnia założenia do dnia dzisiejszego są stałymi moimi Klientami, a wobec tego składam im za to serdeczne podziękowanie za poparcie mego zakładu i polecam się dalszym względem Szanownych Gości.

Z poważaniem

Stanisławowstwo Fabiszewscy.



SALA



BUFET

Kapelusze

najnowszych fasonów

w wielkim wyborze

poleca

Maison de Mode

Z. Mierucka

Warszawa, Krucza 17.

Danziger Privat-Action Bank

Depozitenkasse

Starogard

Bławat Polski

Czesław Gaszyński

Toruń, ul. Chełmińska 8.

Nyxa & Postuszny

Hurtownia Win — Poznań ul. Wrocławska 38/34

telefon 1194.

Sklep kolonialny i delikatesy

J. H. Bernhaim

Owoce, cukry, kawa, kakao

Łódź, ul. Zawadzka № 17.

ELEGANCKA

WARSZAWA

ubiera się tylko

u

St. Rzewuskiego

WARSZAWA, HOŻA 27.



Skład Win — Łódź, Brzezińska № 9.

Ch. M. Bristowski

Ważne dla Pp. Kupców prowincjonalnych!!!

Ołówki: Krajowe i zagraniczne; Papiery kancelaryjne; Papeterja w teczkach i w pudełkach; Pocztówki; Karty do gry; Ze-szyty szkolne, sprzedaje ściśle po cenach hurtowych

Polskie T-wo Księgarni Kolejowych „RUCH“ Sp. Akc.

Centrala: WARSZAWA, Poznańska 38, telef. 68-61 i 68-62

Oddziały: Poznań, Kraków, Lwów, Gdańsk, Katowice, Wilno.

Towarzystwo Zakupów

SPÓŁKA AKC.

DLA PRZEMYSŁU GRAFICZNEGO

SPÓŁKA AKC.

Warszawa, Marszałkowska Nr. 143.

ADRES TELEGR. „ZAKUPGRAF“.

TELEFON 87-67.

Poleca po cenach przystępnych:

papiery ilustracyjne, drukowe, kancelaryjne, listowe, afiszowe, pocztówkowe, ect., farby zagra-niczne drukarskie i litograficzne, płyty cynkowe, offsetowe, ect.

Oferty opróbkowane wysyła się na każde żądanie.

CUKIERNIA POMORSKA

Witolda Pobóg-Bielickiego

Złota róg Wielkiej

Drugi dom od Marszałkowskiej

Telefon 136-44.



Fragment sklepu.



Pracownia.

Poleca wszelkie wyroby cukiernicze, czekoladę, czekoladki, biszkopty, sucharki i t. p.

Wszelkie wyroby odznaczają się wykwintnym smakiem, starannością wykonania, największą czystością i wykonane są z najlepszych i najświeższych materiałów.

Na nadchodzące święta poleca wielki wybór ciast, tortów, cukrów i t. p.

**Celem zadośćuczynienia wymaganiom klientów.
uprasza się o wcześniejsze zamówienia**

Ceny przystępne.

CENY OGŁOSZEŃ

Strona	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
II i III okładki	200.—	100.—	55.—	30.—	20.—
IV okładka	250.—	130.—	70.—	40.—	25.—
za tekstem	180.—	90.—	45.—	25.—	15.—
opisowa	350	180	—	—	—

Fotogr. i klisze na rach. klienta.

Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty: Kron. Towarz. i Komunikaty za 1 m/m 65 groszy. Pierwsza strona tekst za 1 m/m 3 zł. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada.

PRENUMERATĘ I OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ:

Administracja „Biesiady”
Warszawa, Nowy-Swiat 50, tel. 291-60.
konto czekowe w P.K.O. № 8.866.

Agenty:

Katowice: Plebiscytowa 2, 1-sze piętro.

Lwów: Lenartowicza 12.

Łódź: Gdańska 57, tel. 27-90.

Poznań: Górna Wilda 29.

Białystok: Sosnowa 61.

Gdańsk: Księgarnia Czerwińskiego Torfergasse. № 10.

Prenumerata: rocznie 45 zł. półrocz. 24. kwart. 12 zł. mies. 5 zł.

Redaktor Naczelny

Czesław Rokicki

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny

Tadeusz Jaszczewski